Rok I Warszawa 1 listopada 1933 r. Nr. 3

CZŁOWIEK W POLSCE

Cena egz. 60 gr.

Prenumerata kwartalnie: w kraju zł. 3.— za granicą zł. 4.—

Ogłoszenia: za wiersz 1 mm w tekście zł. 1.— za tekstem 60 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Grójecka 45 m 15

Telefon 9-40-17

Konto P. K. O. 9.861

Redaktor przyjmuje codz. od 5 — 7 pop.

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca

U ŹRÓDEŁ OKRUCIEŃSTWA

Świat zalewa fala barbarzyństwa. Barbarzyństwo się pleni. Przypominamy sobie. Wojny krzyżowe w imię grobu Chrystusowego przelewają krew. Święta Inkwizycja w imię zbawienia, w imię szczęśliwości wiecznej skazuje na męki... Fra Dolcino w imię równości ludzi porywa za oręż. Rewolucja francuska w imię praw człowieka i obywatela, gdy ramię gilotyny omdlewa, w statkach podziurawionych topi kontrrewolucjonistów. Rewolucja radziecka w imię nowego ustroju... A przecież wojna światowa też miała jakieś cele wielkie, ogólne — ideały demokracji jej przyświecały... i zostały z tego wspomnienia w rodzaju „Na zachodzie bez zmian".

Czem jest człowiek wobec wielkiej idei? Czem jest jednostka ludzka wobec szczęścia mas, szczęścia pokoleń, szczęścia całej ludzkości? Jeżeli ja sam gotów jestem poświęcić siebie na ołtarzu piękna, prawdy, prawa, sprawiedliwości — czyż nie mam prawa poświęcić innych — jakiejś garści w zestawieniu z miljardami tych co żyją — tryljonami tych co żyć będą?

Więc się zapełnia więzienia i katownie, w których bestja ludzka, rozwydrzony stupajka, warjat, ideowiec, najmita czy sadysta dokonuje tego, przed czem być może cofnąłby się inicjator z przerażeniem, co inny rejestruje jako cyfrę, nie myśląc o otchłaniach całych katuszy, jakie przeżywała każda jednostka tych cyfr.

Hitlerowcy stosują prawa wyjątkowe przeciwko żydom i marksistom. Demokratyczna Czechosłowacja opracowuje prawo przeciwko hitlerowcom, ustawę w gruncie rzeczy wyjmującą ich z pod prawa. A jedno z pism codziennych warszawskich, chwaląc się, że reprezentuje jedyny obóz, który „docenia" wartość takich rzeczy jak wolność i godność człowieka, dowodząc, że stanowi tamę przeciwko fali barbarzyństwa, bezpośrednio potem pisze: „ale obrońcy tej tamy nie mogą przecie walczyć przeciwko karabinom maszynowym i sztyletom tylko dobrem słowem i kartką wyborczą. Byłby to dziki absurd".

Cóż to znaczy? zapytujemy. Zwyczajnie: przeciw sztyletom i karabinom maszynowym sięgnie się po sztylety i karabiny maszynowe. Gdy jedni ich używają w imię „faszyzmu" inni poczną ich używać w imię „godności i wolności". Musimy przytem wierzyć na kredyt w to przyszłe uszanowanie czy cenienie godności i wolności, bo narazie zostaje tylko karabin maszynowy, tylko więzienie, tylko ograniczenie praw, tylko jednem słowem poniewieranie tej godności i wolności, tylko to samo okrucieństwo — jakoby przeciw okrucieństwu, a w gruncie rzeczy prowadzące do rozbestwienia. Co to jest? Błędne koło jakoweś, z którego naprawdę niema wyzwolenia?

I koło to pozostanie tak długo błędne i obłędne, jak długo nie zostanie wytępione doszczętnie z psychiki ludzkiej przekonanie, że człowiek, że jednostka ludzka może być traktowana jako mierzwa, służąca na użyźnienie gruntu pod jakowyś posiew, który kiedyś wzrośnie i wybuja. Póki nie zostanie doszczętnie wytępiona myśl, że ktokolwiek ma prawo czynić ten posiew na trupach.

Si vis pacem para pacem — non bellum, jak to zapewniała polityka starożytnych rzymian. Kto pragnie dobra — musi nareszcie zrozumieć, że trzeba je budować, trzeba je tworzyć. Nie Żiżka lecz Huss, nie Mahomet lecz Chrystus, nie Lenin lecz Gandhi powinni stanąć jako wielkie drogowskazy przed naszemi oczami, powinni pociągnąć nas swoim przykładem, powinni zapalić naszą wyobraźnię.

Chytra sofistyka w tej chwili zechce z nas uczynić

propagatorów „niesprzeciwiania się złu". Otóż właśnie to jest największe oszustwo, jakiego dopuszczają się wszelkiego rodzaju zwolennicy okrucieństwa i gwałtu. Trzeba tylko sprzeciwić się złu u samego jego źródła, właśnie tam, gdzie ono się rodzi, gdzie ono powstaje.

Tyle się u nas z lubością opowiada o Brześciu — tyle na ten temat pisano — a przecież nie sądzimy, by dotąd należycie sprawa ta została przejrzana, by wiele osób naprawdę zrozumiało istotę tego, co on zawiera. Słyszymy, że Brześć stworzył przepaść moralną, że wzniósł granicę nie do przebycia pomiędzy tymi, którzy protestują, a tymi, którzy nie protestują. Otóż sądzimy, że przepaści tej niema, że protestowicze najzagorzalsi w olbrzymiej większości pozostają po tej samej stronie przepaści, po której znajdują się autorzy Brześcia. Brześć jako potencjał istniał i istnieje dotąd w psychice większości działaczy politycznych w Polsce — żeby nie powiedzieć wszystkich. Brześć ujawnił się w sposób — niesłychanie łagodny w stosunku do tego, co narastało i co dotąd żyje w różnych odłamach naszych polityków.

Przypomnijmy sobie tylko fakty. Pierwsza odezwa Rządu Lubelskiego poza różnemi „programowemi" hasłami co głosi? Wyjęcie z pod prawa całego szeregu obywateli. Wyjęcie z pod prawa. Przecie to jest już nieco ostrzejsza forma Brześcia. I kto urzeczywistnieniu mordowni zapobiegł? Mamy wrażenie, że ten w czyje ręce władza się dostała.

Może to był chwilowy szał, po którym nastąpiło otrzeźwienie? W osiem lat potem, zaledwie wojska Marszałka Piłsudskiego spowodowały ustąpienie — czy ucieczkę — rządu p. Witosa, znów ciało bardzo ideowe, pokrewne tamtemu żąda w publicznej uchwale rozpędzenia sejmu i doraźnego ukarania bez sądu szeregu jednostek. Co to jest doraźne ukaranie bez sądu, wie nawet dziecko. A więc potencjał Brześcia jeszcze trwa w całej pełni.

Czy ten potencjał jest tylko po jednej stronie? A co to jest mord pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej? A co to jest lub było P. P. P., S. S. S., O. W. P. i te wszystkie tajemnicze literki, jak nie organizacją gwałtu i uzurpacji i — zemsty? Czem jest dzisiejsza agitacja pogromowa lub pół-pogromowa? Więc niema przepaści żadnej. A raczej całość polityki polskiej znajduje się po jednej stronie tej przepaści.

I to właśnie musi być sumieniu polskiemu wyjaśnione.

Wtedy dopiero dojdziemy do istotnych źródeł okrucieństwa, do prawdziwych źródeł O. W. P. i innych mniej lub więcej tajemniczych literek.

Oto zło, któremu musimy się przeciwstawić. Nie da się ono wykorzenić ani krwią, ani żelazem, ani ogniem. Siedzi ono zbyt głęboko. Żelazo i ogień tylko je podsyca. Nie da się ono wykorzenić przez żaden fajerwerk rewolucyjny. Zwalczyć je trzeba długą, moralną pracą wychowawczą, przed którą wszelka słabizna żądna natychmiastowych efektów cofa się z przerażeniem, bo nie stać lada kogo na zaparcie się siebie, aż do tego stopnia, by poświęcić własne oglądanie wyników pracy. Na to stać tylko naprawdę wielką wiarę w to, co się robi i wielką wolę.

Ale sądzimy, że widok tego cośmy przeżyli, co dziś przeżywamy, zdolny jest wzbudzić tę wiarę, wzbudzić siły do żmudnej i ciężkiej drogi.

Kamienne serca

Od szeregu tygodni cała prasa warszawska zwróciła specjalną uwagę na położenie bezrobotnych. W pismach wszystkich kierunków politycznych cytowano fakty, naprawdę krew w żyłach mrożące. Nawoływano do wytężonej akcji społecznej...

I oto skutki. Kiedy Obywatelski Komitet Pomocy Społecznej w dniach 14 i 15 b. m. odwołał się do ofiarności publicznej — dwa dni zbiórki we wszystkich restauracjach i kawiarniach stolicy dały — trzy tysiące złotych. Trudno określić te wyniki inaczej jak hańbę.

Komitet nie oddawał zbiórki w ręce płatnych przedsiębiorstw. Bilety wstępu do lokalów sprzedawały osoby ofiarnie, bezinteresownie. Ani jeden grosz zebrany nie poszedł na wynagrodzenie „straconego czasu". Wszystko wpłynęło do kasy Komitetu. Komitet zbierał nie na ulicy, po której chodzą ludzie nieraz bez złamanego szeląga w kieszeni. Zbiórka była w restauracjach, gdzie przychodzą „goście" aby coś spożyć, aby zapłacić. Tu ofiara jest możliwa. Jeden kieliszek wódki mniej — jedno ciastko mniej — drobna ofiara ze swego zbytkownego spożycia już daje sumę i to sumę znaczną. Otóż na tę drobną ofiarę ze zbytkownej konsumpcji Warszawa się nie zdobyła.

Blagą jest twierdzenie, że zbiórki już się wszystkim przyjadły. Istotnie były czasy, kiedy zbiórki urządzano co niedziela, co święto, kiedy wszędzie i zawsze na coś zbierano, wszędzie oblegały człowieka kupy zawodowców, trudniących się wyłącznie organizowaniem kwest wszelkiego rodzaju. Dziś to zostało ukrócone.

To brak uspołecznienia — i więcej nic. To sobkowstwo, ohydne sobkowstwo, ustrajające się w jakieś „zasadnicze" względy, ile razy chodzi o ofiarę, o jakieś poświęcenie.

Czasem to przebierało rozmiary istnego skandalu. Wystrojone, wyszminkowane paniusie pozwalały sobie na idjotyczne przycinki pod adresem zbierających. Eleganccy panowie z oburzeniem opowiadali o terorze, o wymuszaniu — o żebraninie. Im mniej kto był uspołeczniony — tem więcej społecznych względów znajdował dla napaści na ofiarność.

Większość lokali odniosła się do zbiórki lojalnie. Niektóre nawet więcej, niż lojalnie. Ale i tu były wyjątki. W jednym z nich np. odebrano paniom zbierającym opłaty krzesła — tak, że musiały pełnić swój obowiązek, którego się podjęły, stojąc.

Zbiórki są wszędzie. Niema miasta w Europie, w któremby ich nie urządzano. Zbiórki są niezbędne. Są one najzupełniej usprawiedliwionem odwołaniem się do szerokiej publiczności. Jest to nie przedsiębiorstwo, które wtyka coś pod pozorem jakichś korzyści lub przyjemności — jest to uczciwe przypomnienie: społeczeństwo jest w potrzebie — ofiarujcie! I ten lojalny stosunek instytucji winien znajdować lojalny oddźwięk. Jeżeli nie znalazł — znaczy to, że społeczeństwo jest nie dojrzałe, zdemoralizowane, zaskrzepłe w egoizmie.

Piszemy oczywiście do niewielkiego grona naszych Czytelników. Piszemy w tem przeświadczeniu, że czytać nas będą ci, do których słowa te najmniej się stosują. Piszemy dlatego, że trzeba wytworzyć inny nastrój w stolicy. I każdy z nas jest obowiązany przyczynić się do zmiany tego nastroju. J. S.

WYTACZAMY WALKĘ

Redakcji „Człowieka w Polsce" (jakże obowiązująca nazwa dla czasopisma!) jestem prawdziwie wdzięczny za zwrócenie się do mnie z propozycją napisania specjalnego artykułu w sprawie Instytutu Oświaty Pracowniczej.

Nie jestem pod tym względem zepsuty stosunkami naszemi, bowiem w czasie swej długoletniej służby społecznej w sumie spędziłem wiele miesięcy w poczekalniach redakcyjnych, wypraszając umieszczenie wiadomości lub artykułu o najważniejszych nieraz sprawach z naszego życia publicznego.

Niewątpliwie coś nie coś poprawiło się w tej dziedzinie, — ale pomysł redaktora „Człowieka w Polsce" zamówienia artykułu na podobny temat należy bądź co bądź w dalszym ciągu do zadziwiających wyjątków.

Cześć, Panie Redaktorze, nietylko za tę jasną myśl redaktorską, ale i za to, że w czasie krótkiej telefonicznej rozmowy tak łatwo doszliśmy do wspólnego wniosku, że dzień 4 października r. b. ma wszelkie dane zapisania się w przyszłej księdze historji ruchów społecznych w Polsce.

Instytut Oświaty Pracowniczej, powołany do życia wspólnym wysiłkiem Unji Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych i Funduszu Pracy, w tym właśnie dniu odbył swe zebranie założycielskie. Na wiele takich aktów patrzyły już moje oczy, ale bodajże pierwszy raz w życiu widziałem **dobrowolnie** zebrane podobnie dostojne grono założycieli.

Coś najwyraźniej odmiennego pociągnęło tych ludzi, przepracowanych ponad wszelką miarę. Jakaś idea **niecodzienna**, a niosąca w sobie zapowiedź lepszego jutra przez podniesienie pracy i pracownika do godności najistotniejszej wartości społecznej — dziś tak powszechnie marnotrawionej — poruszyła umysły, rozpłomieniła serca i umocniła wolę wielu zasłużonych w narodzie. Zapał, ujawniony w październiku, potęgując się z dnia na dzień, przyciąga wciąż nowych wyznawców, i bliższa jest godzina, niż to wielu wydawać się może, gdy ogarnie całą Rzeczpospolitą.

Poza formalnym celem Instytutu szerzenia wiedzy ogólnej i praktycznej, wśród pracowników umysłowych ze szczególnem uwzględnieniem potrzeb pracowników bezrobotnych kryje się idea nieskończenie głębsza, — przywrócenia kulturze jej podeptanych praw i wyzwolenia podeptanego dziś człowieka pracy z nędzy i upadku.

Dla wykonania tych doniosłych zadań I. O. P. prowadzić będzie pracę w dwóch kierunkach. Z jednej strony przeprowadzi jak najgruntowniejsze badania nad zagadnieniem bezrobocia wogóle, a zwłaszcza wśród pracowników umysłowych, nad obecnym stanem organizacji naszego życia gospodarczego i społecznego i wypracowaniem programu zmian celowych, jakieby w tych dziedzinach należało przeprowadzić, nad możnością z pożytkiem dla gospodarki społecznej zwiększenia zatrudnienia w przemyśle, handlu, rolnictwie i życiu publicznem, nad analizą zawodów, którym obecnie przeważnie poświęcają się pracownicy umysłowi, i nad koniecznością przeprowadzenia w tym zakresie poważnych zapewne reform, nad zagadnieniem doboru zawodowego i opracowaniem odnośnych metod psychotechnicznych.

Z drugiej strony Instytut prowadzić będzie akcję czysto praktyczną przez szerzenie wiedzy ogólnej, przez tworzenie specjalnych kursów zawodowych, mających na celu redukcję pracowników z jednych, nadmiernie obsadzonych zawodów, do innych, oraz przez wytoczenie zasadniczej walki bezrobociu.

To ostatnie zagadnienie, jako wyjątkowo dziś groźne, a społecznie nadzwyczaj niebezpieczne, wysuwa się w I. O. P. na pierwszy plan.

W Polsce mamy dziś prawdopodobnie około 120.000 bezrobotnych pracowników umysłowych, do czego rocznie dochodzi około 30.000 abiturjentów szkół różnego typu. Niezmiernie obciążającym momentem jest fakt, że mniejwięcej połowa bezrobotnych pracowników umysłowych — to półinteligenci, którzy przedostali się do tej grupy społecznej z krzywdą nawet dla siebie samych w okresie rozbudowy naszego samodzielnego życia państwowego i społecznego, zwłaszcza w czasach lepszej konjunktury gospodarczej.

Ludzie ci, nawet w razie poprawy sytuacji, pracy w typowo inteligenckich zawodach nigdy już nie znajdą. Trzeba więc albo zdecydować się na istnienie głodnej, a tak licznej armji zdeklasowanych i wywrotowo usposobionych wykolejeńców, albo skierować ich ku innym, mniej białokołnierzowym zawodom, gdzie jednak inteligentniejszy pracownik jest nieistniejącą w Polsce, a pożądaną wartością. Nadto w gospodarce naszej posiadamy bardzo poważne luki, które, przy odpowiedniej analizie, da się łatwo ustalić, a których zapełnienie powiększy znacznie stan zatrudnienia. Dotychczas nad zagadnieniem tem prawie nikt, przynajmniej systematycznie, nie pracował. Już jednak wstępne badania Instytutu wykazały, że istnieje szereg dziedzin w naszem życiu gospodarczem i publicznem, napraszających się o uruchomienie przy minimalnych, albo wprost żadnych nakładach finansowych, — a o których nikt nie pomyślał. Prace Instytutu pójdą między innemi w tym właśnie kierunku — znalezienia zatrudnienia na polach, które leżą zupełnie odłogiem.

Najwidoczniej plany Instytutu nie są fantazją, skoro znalazły i aprobatę i wydatną pomoc finansową ze strony Funduszu Pracy, Związku Zakładów Ubezpieczeń Pracowników Umysłowych i poszczególnych Z. U. P. U.'ów, i skoro Ministerstwo Opieki Społecznej i władze szkolne żywo zainteresowały się zamierzeniami I. O. P. i okazują mu jak najżywsze poparcie.

O ile za rok Instytut zwoła pierwszy zjazd abiturjentów swoich kursów i tych, których wyrwał z piekła bezrobocia, i o ile na zjeździe tym znajdą się ludzie, którym przywrócone zostało prawo do życia, — czyż można wyobrazić sobie radośniejszy moment? Każdy człowiek, któremu Instytut dopomoże do wybrnięcia z nędzy i upadku, czyż nie stanie się siewcą w szerokich masach wiary w możność przezwyciężenia klęski, tak powszechnie dziś panującej? Czyż nie podniesie on ducha w tych, którzy opuścili już ręce i w depresji ostatecznej zwątpili w możność ratunku dla siebie i społeczeństwa? Czyż nie będzie najlepszym, bo żywym przykładem, że nie przez bierne poddanie się wypadkom, lecz przez zorganizowaną i planową akcję można powiększyć na świecie sumę szczęścia, otrzeć łzy niejednej matce, zaspokoić głód niczemu niewinnej dziatwy, wzmóc twórczość społeczną, i Państwo Polskie oprzeć na mocniejszych fundamentach — na obywatelach, ufnych w swe własne siły i oddanych sprawie publicznej, jako swej radosnej pracy.

Henryk Rygier.

Zdarzenia i uwagi

AKADEMJA LITERATURY.

Motywy powołania do życia Akademji Literatury są następujące:

„Pragnąc zapewnić literaturze polskiej należne stanowisko w życiu narodu, odpowiednie do jej wielkich zasług w podtrzymywaniu życia narodowego w czasach walki o niepodległość, oraz wywyższyć ją, jako narzędzie, po przez które wypowiada się dusza narodu w najbardziej idealnych pierwiastkach, jak również umożliwić pisarzom polskim oddziaływanie na społeczeństwo w kierunku wzmożenia poczucia państwowości polskiej oraz współpracę z rządem nad budową świetnej przyszłości Państwa Polskiego, ustanawia się Akademję literatury".

Do szeregu Akademików powołani zostali: Wacław Sieroszewski, Leopold Staff, Juljusz Kaden - Bandrowski, Wacław Berent, Zofja Nałkowska, Piotr Choynowski, Prof. Tadeusz Zieliński, prof. Juljusz Kleiner, Wincenty Rzymowski, Dr. Tadeusz Żeleński, Zenon Przemycki, Karol Irzykowski, Hubert Rostworowski, Bolesław Leśmian, Jerzy Szaniawski.

Nie ulega wątpliwości, że pisarze ci stanowią czoło literatury. I nie czas na wyrażanie żalów z powodu braku tego lub innego nazwiska. Faktem jest, że uwzględniona została i literatura piękna i krytyka i publicystyka.

ZMIANY GRANIC OKRĘGÓW SĄDÓW APELACYJNYCH.

Dokonane ostatnio zmiany obszarów, należących do poszczególnych sądów apelacyjnych poszły po linji zatarcia granic zaborów. Kalisz został przyłączony do Poznania, Włocławek do Torunia. Ujednostajnienie naszego ustawodawstwa poszło tak daleko, że można już nie oglądać się na dawne granice państw zaborczych. Ujednostajnienie ustawodawstwa samorządowego otwiera dalsze możliwości w tym kierunku i pozwala przypomnieć sprawę zmiany granic województwa Pomorskiego, które należy powiększyć kosztem zarówno czterech powiatów nadnoteckich, jak i północnych powiatów województwa Warszawskiego, bodaj że całych Kujaw. W swoim czasie sprawa ta była szeroko omawiana i spodziewać się należy, że nareszcie będzie załatwiona w myśl interesów tej niezmiernie ważnej części Rzeczypospolitej.

CHŁOPSKIE PROCESY.

Gdy Czytelnik dostanie do rąk to pismo, procesy o „rewolucję" w Ropczyckiem będą już zakończone. Zapewne, jak zawsze tak i teraz na mniejsze, czy większe kary skazane będą „ślepe miecze" nie ręce. Bo, jakkolwiek społeczne przyczyny rozruchów były i są, jakkolwiek nędza na wsi, bezwzględnie prowadzone egzekucje podatkowe, wypadki samowoli tych czy innych urzędników zdarzały się może częściej niż byśmy sobie tego życzyli, przecież przewód sądowy stwierdził, że działały tu i czynniki organizacyjne. Byli gońcy, którzy nawoływali do spokoju, byli i inni, którzy organizowali „pochody". Byli i tacy, którzy wzywali do zbrojenia się, nakłaniali do udziału w rozruchach. Byli i tacy, co broń dostarczali. To wszystko było. I na to wszystko żadna władza pozwalać nie może. Kto zawinił? Odpowiedź prosta —niedomówienia. Jest pewien specyficzny sposób agitacji politycznej, polegający na tem, by zostawić „luzy" w tem, do czego się namawia. Wzywając do protestu przeciw temu czy innemu faktowi, wzywa się w ten sposób, by nie „osłabiać ducha" i „nie kłaść tamy dobroczynności". Rzecz jasna, że żadna „góra" partyjna nie będzie bezpośrednio namawiać do gwałtów. Ale każda też i wie o tem, jak się jej słowa odzywają na dole. Fakt, że gońcy w Ropczyckiem latali pomiędzy prezesami określonego stronnictwa jest znamienny i świadczy, że organizacyjny wysiłek tego [illegible] ctwa nie był skierowany ku zapobieżeniu przelewowi krwi. Stronnictwo sposobem parlamentarnym teraz „zrzuca z siebie odpowiedzialność", ale tej odpowiedzialności nie zdejmie zeń żaden spokojnie myślący człowiek. I na tem polega cała sprawa. Opozycja „inkryminowana' 'w tym wypadku grubo przekroczyła granice tego, co wolno i wstąpiła na tory anarchji.

UNIESZKODLIWIONA ZMOWA.

Rozwiązanie szkodliwego, antispołecznego, antipaństwowego spisku, jakim był t. zw. kartel cementowy, przez całe społeczeństwo przyjęte zostało z ulgą. Mamy prawo jednak spodziewać się, że stanowi to pierwszy krok na drodze planowej walki z wyzyskiem, jaki uprawiają inne kartele.

W ciągu rozprawy odsłaniano nam przed oczyma ze strony urzędowej rzeczy wprost potworne. Oto w czasie bezrobocia właściciele cementowni Łazy otrzymali miljon trzysta tysięcy złotych nagrody za to, że zwiększali bezrobocie przez zamknięcie fabryki. Ile ludzi z tego powodu cierpiało głód? Ile zginęło?

Niema przesady w tem pytaniu. Nie jest prawdą, że tyle samo ludzi w braku kartelu było by pozbawionych pracy. Nie, cement mógł być tańszy, spożycie jego mogło być większe — a tem więc większa ilość zatrudnionych. A że urządzenia fabryczne by się nie amortyzowały — to ryzyko przedsiębiorstwa. To niebezpieczna strona własności prywatnej. Kartel— to zatrzymanie przywilejów z usunięciem ryzyka, to sięganie po monopol dla prywatnej kieszeni bez jakiegokolwiek uzasadnienia społecznego czy państwowego. Bezosobowy kartel cementowy ma na sumieniu tyle krwi, za ile pod sąd doraźny poszły by setki morderców. Nie żądamy zemsty. Ale żądamy uniemożliwienia bytu tego rodzaju zbrodni zorganizowanej.

NARESZCIE.

Wprowadzona ma być w życie ustawa o znakowanie wyrobów polskich. Wytworzone w Polsce — ma oznaczać, że towar nie jest sprowadzony z zagranicy. Usunięte zostanie w ten sposób wszelkiego rodzaju wsączanie kupującym w ręce towarów obcych. Cecha podobna w Anglji przyczyniła się ogromnie do rozwoju tamtejszego przemysłu. Może ona i nam oddać niemałe usługi. Wszelkie przekroczenia i nadużywanie napisu będzie bardzo surowo karane.

CZY PRZYKŁAD?

Z największą uwagą należy śledzić przebieg ostatniej kampanji zbożowej Sowietów. Wszystkie dane dotychczasowe mówią, że zbiory idą pomyślnie, że trudności, które niewątpliwie są, zmniejszają się — że koncentrują się ponadto na transporcie raczej niż na samem rolnictwie. Szczupłe cyfry, jakiemi rozporządzamy, dowodziłyby jednak, że wydajność hektara zwiększyła się, co więcej znacznie wydajniejszy jest hektar kolektywu niż gospodarstwa prywatnego. Jeżeli nie są to specjalnie dobrane wypadki, to doświadczenie, w Rosji dokonane, przemawiałoby na korzyść gospodarki wspólnej.

Wniosek to ważny. Nożyce przemysłowo - rolne są zjawiskiem stałem i one to wypędzają ludność rolniczą do miasta. One dokonały wyludnienia wsi w Anglji, one systematycznie prowadzą do depopulacji wsi niemieckiej, ze zjawiskiem tem walczy Francja. Zastosowanie maszyn na znacznych obszarach może dać wyniki bardzo ciekawe. Warto więc przyjrzeć się próbom rosyjskim, a kto wie nawet, czy nie należałoby pomyśleć i u nas o przeprowadzeniu ich. Podnosił sprawę tę nie tak dawno b. pos. Gawlikowski, szukając w organizacji spółdzielni rolniczych środka na bezrobocie. Trzeba postawić sobie pytanie, czy nie byłoby rzeczą pożyteczną przeprowadzenie kilku doświadczeń tego rodzaju przy realizowaniu reformy rolnej? Zapas ziemi jest.

PALENIE CZAPEK.

Dziedziniec uniwersytetu warszawskiego był sceną osobliwego widowiska. Oto studenci różnych obozów zrywali sobie wzajemnie czapki i palili je na stosasch. Gdy która partja nie mogła „zdobyć" czapek na przeciwnikach, to nawet podobno zakupywała je w sklepach. Wtajemniczeni zapewniali, że jest to jedna z form walk politycznych. Rejestrujemy to sobie w pamięci. Ostatecznie, że temperamenty grają i znajdują dla siebie ujście w głupstwach — to rzecz stara, jak świat. Wolelibyśmy, żeby palono czapki specjalnie na ten cel zakupione, bo zdobywanie ich połączone jest z rękoczynami, sińcami, wybijanemi zębami, co „walk politycznych" nie uszlachetnia. Ale — ostatecznie i to można przeboleć. Całą komikę wypadków tych stanowi fakt, że niektóre pisma stolicy podejmują dyskusję ,jakich czapek więcej spalono i usiłują dowodzić, że przewaga wypada po stronie własnej, jak gdyby zaszczytem było mieć więcej głuptasów w swoim obozie. Gratulujemy, ale nie zazdrościmy. Mamy nadzieję, że młodzież z nami sympatyzująca wogóle czapek nie pali.

*

O krwawych zajściach i zamknięciu Uniwersytetu na razie nie piszemy. Sprzeczne relacje nie pozwalają wyrobić sobie o tem zdania.

TITULESCU I BENESZ.

Obaj panowie ministrowie spraw zagranicznych Małej Ententy objawiają dość ożywioną czynność. P. Titulescu ostatnio już w czasie podróży do Turcji zupełnie wyraźnie zapowiedział, że celem tej działalności jest blok państw Europy środkowej. O tem samem pisze *Neue Freie Presse* wiedeńska z okazji pobytu p. Benesza. W czasie konferencji ministra Czechosłowacji z p. Dollfussem podobno omówione zostały projekty pp. Tardieu i Mussoliniego. Oba te projekty nie dają należytej podstawy do rokowań, to też wymienieni mężowie stanu zapewne przyjęli jako punkt wyjścia tylko fakt ich istnienia, aby dojść do potrzeby skonstruowania rzeczy nowej. W ciągu rozmów plan jeszcze nie dojrzał — mówią nawet o niepowodzeniu czechosłowackiego ministra. To narazie. Plan ten dojrzeć musi, bo pcha nas ku temu konieczność polityczna i gospodarcza.

Powinniśmy i my w tej sprawie objawić jak największej aktywności.

RELACJE ZAGRANICZNE ZSRR.

Amerykańskie Stany Zjednoczone zdecydowały zdaje się definitywnie uznać *de facto* i *de jure* Związek Radziecki. Predestynowany na ambasadora St. Zjednoczonych w Moskwie sen. Borah ma tam już lada dzień wyruszyć, aby przeprowadzić ostateczne pertraktacje. Przyśpieszenie decyzji nastąpiło podobno wskutek zawikłań na Dalekim Wschodzie. Opinja publiczna stolic europejskich przypisuje w porozumieniu amerykańsko - sowieckiem wybitny udział poselstwu polskiemu w Moskwie. Byłby to dowód dalszego zbliżenia polsko-sowieckiego i wymiany usług, którą obserwowaliśmy w stosunkach rumuńsko - sowieckich. Świadczy ona dodatnio o czujności naszej dyplomacji.

STRONNICTWA ANTIPAŃSTWOWE.

Rząd republiki Czechosłowackiej opracował ustawę o stronnictwach antipaństwowych. Władzy bezpieczeństwa trzeciej instancji przysługuje prawo uznania za antipaństwowe stronnictw politycznych na podstawie ustalonych kryterjów. Członkowie takiego stronnictwa zostają pozbawieni wszelkich praw politycznych. Posłowie należący do niego tracą mandaty. Na ich miejsce nie mogą do sejmu wchodzić kandydaci z listy antipaństwowej, a zatem ilość posłów przez usunięcie ich się zmniejsza. Za podtrzymywanie organizacji tego rodzaju grożą wysokie kary więzienia. Ustawa ma obowiązywać na razie do roku 1935.

Demokratyczna Czechosłowacja wkracza zatem na drogę ustaw wyjątkowych. Rzecz to jest najzupełniej zrozumiała. Nie może w ciele ustawodawczem Państwa zasiadać jego zasadniczy wróg, gdyż po wrogu nie można się w żadnym razie spodziewać lojalności. Konstytucja nasza przewiduje ślubowanie poselskie. Tylko nie istnieje żaden sprawdzian co do wypełnienia tego ślubowania. Niema też żadnej odpowiedzialności za przekroczenie tego, co ślubowanie to nakazuje. W tem leży bardzo poważna niekonsekwencja, z której Czechosłowacja usiłuje wybrnąć, mając w osobach Hitlerowców zupełnie jawnych zdrajców nie tylko w kraju, ale i w sejmie.

PRZESILENIE FRANCUSKIE.

Rząd p. Daladiera upadł wobec trudności budżetowych. Wpływy nie mogą dopisać — konieczne są oszczędności. Tych oszczędności nie można przeprowadzić inaczej jak przez ograniczenie wydatków personalnych. Ale — wtedy występuje „święte hasło solidarności ludzi pracy", którzy „ani jednego centyma, jak mówił na ostatnim zjeździe radykałów jeden z deputowanych francuskich, nie pozwoli zmniejszyć tego, co im się słusznie należy". I na tem koniec.

Pozostaje dla państwa wtedy jedyna ucieczka — inflacja. I tu znów trudność powstaje. Francja jest dziś mocna finansowo, gdyż ma stałą walutę. Zachwianie się franka ze względów budżetowych oznacza gwałtowną ucieczkę nie tylko kapitałów obcych, ale i własnych. Zachwianie się franka — to katastrofa bardzo poważna.

Ale — inflacja, jakkolwiek po zjedzeniu drobnych kapitałów uderza przedewszystkiem w ludzi pracy — przecież w masach przyjęta zostanie jako klęska żywiołowa. Nie będzie głosowania, w którem można ustalić odpowiedzialność za nią. Zwalać ją każdy demagog potrafi na tego, kogo mu się podoba. To też dla demagogji właśnie inflacja jest lepszem wyjściem niż podatki lub pomniejszenie pensyj. Te względy zdają się obecnie we Francji przeważać.

Wyjście trzecie Republika znajduje w utworzeniu nowego gabinetu — bardziej na prawo posuniętego. Zmieni się i kierownictwo polityki zagranicznej. I to nie tylko pod względem personalnym.

NA DALEKIM WSCHODZIE.

Sytuacja nad Amurem znów uległa zaostrzeniu. Wymiana stanowczych not, groźnych protestów zdaje się zwiastować burzę. Od chwili początku konfliktu chińsko-japońskiego stosunki się zmieniły. Sowiety, najbardziej w całej sprawie zainteresowane, objawiły niezwykle żywą działalność dyplomatyczną. Zapomocą szeregu umów obwarowały swoje granice zachodnie, weszły w porozumienie ze wszystkimi swojemi sąsiadami europejskiemi, zaskarbiając sobie nietylko ich neutralność, ale i współpracę, wydatnie popierając ich postulaty polityczne na konferencjach międzynarodowych. Ostatnim etapem tych prac jest uznanie Sowietów przez rząd Roosevelta, czyli porozumienie z najpotężniejszym antagonistą Japonji na Dalekim Wschodzie.

Przez cały ten czas prowadziły Sowiety rozmowy z rządem Mandżu-Ko o wykup kolei wschodnio-chińskiej. Obie strony grały na zwłokę i nie mogły się porozumieć co do... wysokości sumy. Japonja poczęła wtedy rękami mandżurskiemi rugować sowieckich urzędników kolejowych. I koło tego powstał spór.

Więc zatem wojna ma wybuchnąć jedynie o sumę pieniężną. O wysokość wykupu za kolej. Jeżeli tak — to wcale nie wybuchnie. Ale kto wie, czy Rosja wogóle miała szczery zamiar sprzedaży kolei. Przecież linja ta łączy ją z Władywostokiem. Strata kolei oznacza dla Sowietów wyrzeczenie się tego miasta i całego pasa ziemi zamkniętego pomiędzy granicą mandżurską a Pacyfikiem, o cały kraj położony na południe od ujścia Amuru.

Jeżeli o to chodzi — to wojna wybuchnie, gdyż posiadanie tej ziemi dla Japonji — to sprawa polityki lądowo-azjatyckiej, dla Rosji, to zagadnienie polityki na Dalekim Wschodzie.

DYSKUSJA

DOGMATY.

W ostatnich czasach odbył się zjazd Rady Naczelnej P. P. S., który przyjął cały szereg uchwał. Czytającego je uderza przedewszystkiem niesłychana pewność siebie, z jaką rozstrzygane są wszystkie najzawilsze kwestje. To są dogmatyczne wyroki, nacechowane poczuciem nieomylności. I jeszcze więcej. To są poprostu artykuły wiary, które podawane są do wierzenia wszystkim członkom stronnictwa, postanowienia, jak mają oni myśleć i jak stosować się do rzeczywistości. Tak przemawiają sobory kościelne.

Sam fakt tego rodzaju stanowiska dyskwalifikuje krytyczny stosunek do życia, podcina życiowe podstawy stronnictwa i uniemożliwia mu współtwórczość państwową czy społeczną. Naśladowanie Hegla, któremu, gdy powiedziano, że życie jego teorjom przeczy, odrzec miał poprostu „tem gorzej dla życia"—dla działacza jest zabójcze.

Rada Naczelna nie widziała życia przez cały czas swych obrad. Widziała teorje, w których się wychowała, widziała jakoweś mgliste cele „uspołecznienia", którego nikt jeszcze należycie nie zdefinjował, a od którego jedyne państwo realizujące dziś socjalizm programowo, musiało się cofnąć. Z broszurkowo-agitacyjnych przesłanek próbowała dedukować.

Jaka jest nasza rzeczywistość światowa? Prosta — kapitalizm rozlatuje się w gruzy. Nie wytrzymał on próby życia. Nim zdołała go zachwiać agitacja rewolucyjna, nim zdołała wytworzyć się przeciw niemu „antyteza" proletarjacka, przeżarł on sam siebie. Był on niesłychanie mocny, gdy działał w dziewiczej pod względem przemysłowym puszczy ludzkości. Gdy przemysł fabryczny rozwinął się na całym świecie, kapitalizm począł sam ograniczać zasady liberalizmu i ograniczał ani trochę nie gorzej, niż robiły to w swoim czasie cechy średniowieczne z rzemiosłem. Tamte jednak czyniły to w skali miejskiej — kapitał próbował dokonać dzieła ograniczenia w skali światowej. Jego ideałem stała się nie walka w imię zasady „laissez fair" — ale skoncetrowanie wielkich światowych przedsiębiorstw, stworzenie ponadpaństwowych królestw stali, węgla, nafty, cukru, bawełny, cementu, kawy itd. I oto nie spostrzegł on, jak powoli, na drodze do spełnienia tego celu stawia przed sobą wroga, który musi w końcu go zwyciężyć. Nie widział kapitalizm, że powoli w ten sposób mobilizuje się przeciwko niemu idea państwowa jako taka. Że do starcia z tą ideą dojść musi. Ubezpieczenia socjalne jako marzenia powstają w głowach socjalistów, gdy realizuje je Bismarck. W odpowiedzi na podział rynków pomiędzy przedsiębiorstwa i koncerny kapitalistyczne, musiała podnieść głowę autarkja. Straszliwe ryzy celne, twarde ramy kontyngentowe stały się już nie obroną przemysłu takiego czy innego, stały się narzędziem zmuszenia tego przemysłu do działania w myśl interesów państwowych. I im mocniejsza jest władza państwa, tem ta presja na kapitał jest bardziej stanowcza i bardziej bezwzględna.

Kapitalizm, organizując się w kartele, zyskiwał dla siebie monopole nie mniej twarde niż monopole państwowe. Zyskiwać zdawał się dyktaturę. Więc Państwa znalazły przecież na nie środki i z całą bezwzględnością rozbijają te organizacje, tak samo, jak rozbijają wszelkie spiski przeciwpaństwowe, rozbijają je z nadzwyczajną skutecznością.

Sprawa opłacalności wywozu węgla, zboża, cukru i całego szeregu artykułów masowego handlu jest w tej chwili zupełnie zależna od rządów. Wojna i kryzys światowy, kryzys, który zachwiał najpotężniejszemi przedsiębiorstwami, skoncentrowały w rękach państwa takie środki, oddały w jego ręce takie ośrodki dyspozycji, jakiemi dziś nikt nie rozporządza. Państwo w tej chwili czy chce, czy nie chce, musi realizować wielką przemianę, wielką przebudowę społeczną i ją realizuje. Realizuje ją na swój sposób Mussolini, realizuje Roosevelt—realizuje się ona ciężko i twardo w Polsce. Realizuje ją Rosja Sowiecka w drodze szeregu prób, coraz korygując swój program.

Krok za krokiem organizacja państwowa zyskuje coraz większy wpływ na wytwórczość i na wymianę, krok za krokiem coraz skuteczniej ją reguluje, coraz mocniej wdziera się w jej organizację.

Jest wiele narzekań na monopole i przedsiębiorstwa państwowe. Podnosi się ich drożyznę, ich wysoką kalkulację. Ale rzadko kto wspomni o tem, że przedsiębiorstwa te przodują w dziedzinie stosunku do zatrudnionych. Chorzów czy Mościce dały robotnikom nieomal wszystko, co według rozwiniętego ustawodawstwa socjalnego w Polsce im się należy, dały szczodrze i uczciwie. Niema takich żłobków, takich urządzeń kulturalnych, jak w fabrykach monopolów, fabrykach broni i innych zakładach państwowych. Napróżno byśmy narzekali na drożyznę tego wszystkiego — to są próby, które dokonane być muszą, to jest przeszkolenie organizatorów naszego przemysłu, to nie tylko dostawcy tych czy innych artykułów przemysłowych, ale wielkie laboratorja socjalne. O tej ich roli, niestety zapomina się często i zapominają przedewszystkiem stronnictwa robotnicze, odżegnując się od myśli, że przecie właśnie w ten sposób dokonuje się postęp twórczy.

„Porządek stary już się wali!" Tak jest! wali się. I właśnie dla tego, że się wali, właśnie dlatego, że upada, właśnie dla tego, że nie posiada wewnętrznych sił do życia, państwa Europy wzięły na siebie trud wytworzenia, zbudowania nowej struktury.

I to jest najcharakterystyczniejsze, że socjaliści, w ogromnej większości krajów, jako budowniczowie najzupełniej zawiedli, cofnęli się sami przed trudem konstruowania nowego porządku społecznego. Stać ich na frazesy o rządzie robotniczo-włościańskim, stać ich na rezolucje i uchwały, stać na grzmiące frazesy pełne przerażających „rrrr", tylko nie stać na myśl twórczą. Na próżno stawiano ich na czele rządów. Wykazywali oni całkowitą bezsilę, kompletną ciemnotę i zupełną niezdolność rządzenia. Zdobywali się na pożyteczną działalność w obrębie gmin — (np. Wiedeń) — nie umieli nigdzie nic przeprowadzić w skali państwowej.

I — o ironjo losu — wyręcza ich teraz w Niemczech—Hitler.

O ironjo losu — dążąca ku ewolucji część społeczeństwa musi traktować ich jako ciemną, bezwzględną reakcję, która w imię pseudo demokracji (jakżeż nielitościwie oni prawdziwą demokrację niszczyli, jak zażarcie pędzili nas dajmy na to do centralizmu!) — w imię parlamentaryzmu usiłuje „nawiązać starganą nić".

Tak jest. Obserwujemy wielką przemianę, wielką przebudowę społeczną, dokonywaną zgoła innemi rękami, niżeśmy się spodziewali. Nie wiemy jeszcze i nie wiedzieć nie możemy, co z dzisiejszych poczynań wytrzyma próbę czasu. Nie umiemy z tak dogmatyczną pewnością oceniać sytuacji, jak to czynią nieoświeceni agitatorowie. I oto w czasie tej wielkiej przemiany stwierdzamy, że tem pewniej ona się uda, im więcej uwagi poświęci się człowiekowi.

Rezolucje P. P. S. powiadają, że nie uzyska się trwałego polepszenia bez zmiany ustroju. My powiadamy, że w tych warunkach, w jakich żyjemy, trzeba iść i polepszać. I to jest nasze zadanie. I tu jest przepaść etyczna pomiędzy naszemi światopoglądami. Tam straszliwa pycha myśli nie wierzącej, by coś ktoś potrafił zrobić bez nich i w niezgodzie z ich planami — pycha nieuzasadniona — pycha wyrobiona przez ludzi wcale nieźle się na posadach poselskich mających — po naszej stronie świadomość tego, że w tym zakresie, w którym żyjemy, musimy dobro zdziałać— niezależnie od tego, w jakim kierunku rozwój pójdzie, musimy człowieka tworzyć, uczyć, podnosić.

Przełom — kiedy się skończy? Nie wiemy. Prędko, czy późno — wszystko jedno. Wielu go nie doczeka. Ale ich prawo do życia jest nie mniejsze niż tych, którzy na to czekają. I nikomu nie wolno poświęcać ich dla wyrozumowanych dogmatów.

Że P. P. S. tak czyni — dziś nie stanowi nic. I może w swoim organie butnie głosić o końcu rządów swych przeciwników, może upewnić, że już ich niema, może dowodzić, że ich duch nawet zniknął... ale dowodzenie to byłoby zupełnie słuszne, gdybyśmy żyli w sferze jej marzeń. Ale my żyjemy na ziemi, i na ziemi żyje Polska.

DWA WIDMA

Efekty energji są o tyle niebezpieczne, że jeżeli nie mają spowszednieć, muszą być coraz mocniejsze, coraz głośniejsze. Hitler swoim stanowczo odmownem stanowiskiem w sprawie rozbrojenia, swoją beznadziejną walką o „mniejszości", z pośród których usiłował wyjąć wszystkie te, względem których sam wmienby się poczuwać do jakichś obowiązków, jakoby umyślnie, jakoby z całą świadomością zapędzał się w kozi róg, z którego niema już wyjścia inaczej jak przez rozwalenie ściany. I rozwalił ją jednym zamachem, rozwalił w momencie, kiedy się tego najmniej spodziewano.

Tego samego dnia ogłosił on swą gotowość do dalszych pertraktacyj. A tymczasem konferencji rozbrojeniowej posiedzenia zostały zawieszone. Hitler okazał nietylko swojemu narodowi, ale całemu światu, że miejsce jego przy stole obrad genewskich zajęło widmo — groźniejsze od niego samego, widmo, które pieczęć milczenia nałoży na wszystkie usta, które klątwą bezpłodności obarczy wszystkie obrady, które zniszczy iluzyję ich skuteczności. I wtedy — rozumował — wszyscy przyjdą na jego podwórko. Ale on nie wszystkich przyjmie — tylko uprzywilejowanych. Oto pokaże się cały bezsens demokracji narodów, oto pokaże się jakiem głupstwem jest oddawanie sądu nad wielkiemi Niemcami zgromadzeniu złożonemu z przedstawicieli Łotwy, Iraku, Urugwaju... Hitler będzie naradzał się w Berlinie czy w Rzymie, w Paryżu, lub w jakiejś małej mieścinie, której nazwa wskutek tych obrad zasłynie — ale tylko z „równymi". A potem niech sobie plebs litewsko-iracki potwierdza wyniki tych narad, albo nie potwierdza. Czy nie wszystko w gruncie rzeczy jedno, czy Albanja wyrzeknie się używania yperitu, czy nie?

Hitler może znieść wiele upokorzeń w ciszy gabinetu, w rozmowie w cztery, czy osiem oczów, może poczynić najcięższe ofiary w tajemnicy, byle bez rozgłosu. Hitler nie może na nic podobnego nawet pozwolić sobie jawnie. W tajemnicy można nawet przyrzec i dać gwarancje nienapadania nikogo setki lat. Jawnie zawsze się mówi o odzyskaniu Pomorza i Górnego Śląska i Alzacji i Eupen i niemieckiej Szwajcarji i kolonji i Wolgi. Jawnie można mówić tylko temu, co podbechtuje megalomanję teutońską, co nie przeczy pieśni jedynej w swoim rodzaju, pieśni barbarzyńskiej, bluźnierczej „Deutschland uber Alles".

Hitler upiekł odrazu dwie pieczenie. Na wewnątrz okazał, że się nikogo nie boi (aj Mośka, znat'ana silna kal'tajet na słana! — powiada Kryłow) — na zewnątrz, w chwili, gdy wszyscy mówili, że pakt czterech jest tylko iluzją okazał, że z nim można mówić tylko i wyłącznie na zasadzie paktu czterech, albo jakiego innego porozumienia, zawartego pomiędzy „przodującymi".

I nie ulega wątpliwości, że na tem polu osiągnąłby Führer całkowite zwycięstwo i poparcie jawne p. Mussoliniego, a nieco zamaskowane p. MacDonalda — gdyby nie wystąpienie Polski, Sowietów i Turcji, które zastrzegły się przeciw jakimkolwiek tajnym naradom, z całą energją przeciwstawiając się uprzywilejowanym paktom.

Przy drzwiach gabinetu, w którym miało się zejść czterech czy pięciu „równych", stanęło drugie widmo całego Wschodu Europy, widmo, którego milczenie tak samo mocnoby zaciążyło nad obradami „poufnemi", jak niemieckie nad obradami jawnemi. I czar jego zawisł nad Europą.

Zdawałoby się, że Niemcy w tej chwili są zupełnie odosobnione. Pakt czterech (nieratyfikowany!) stracił prawne podstawy, obowiązywał bowiem w ramach Ligi Narodów. Przepadła fikcja hierarchji państw. Italja nawet zawiesiła starania o nawiązanie podartych nici porozumienia. Wszystkie oferty pertraktacyj odrzuca opinja krajów ucywilizowanych. Czy znaczy to, że rządy uciekną się do środków represji?

Nie są one niemożliwe. Liga Narodów może niemało przykrości zrobić Niemcom, zarówno w Zagłębiu Saary, jak w Gdańsku. Może definitywnie przesądzić sprawy mandatów kolonjalnych i zamknąć przed Niemcami wszelkie nadzieje. Pozostają jeszcze takie środki, jak bojkot gospodarczy, obejmujący zarówno towary, jak środki niemieckiego transportu...

Bardzo mało jest widoków, żeby narody zdobyły się aż na tyle solidarności. Raczej — wszystko zostanie po staremu.

Dziś dwa widma nakazują milczenie światu. Ale zakaz długo trwać nie może. Niecierpliwość pp. Mussoliniego i MacDonalda przerwie je. Właśnie na to liczy Hitler. Bo w jego położeniu sam fakt poufnych narad już jest zwycięstwem. W jego położeniu każda

konferencja już stanowi afirmację uderzenia w instytucję genewską. Im większe grono narodów weźmie w rozmowach z nim udział — tem to zwycięstwo będzie donioślejsze bez względu na wyniki.

I są wszelkie dane po temu, że my od tych narad pozostaniemy z dala i to tak długo, jak długo reprezentant nasz nie będzie jednocześnie przedstawicielem całej środkowej Europy.

Każdy fakt polityczny w Europie każe nam znów powracać do tej samej tezy — oto że blok narodów Bałtycko-Adrjatyckich musi być zbudowany.

OPINJE

W „Kurjerze Porannym" znajdujemy znów atak na przypadkowe macierzyństwo. Autor obrazuje nam dolę matek nieślubnych, skazanych na pomoc społeczną dla tego, że się stały matkami. Wszystkie nie zdawały sobie sprawy z tego, co to jest dziecko. I oto mają je. Ojcowie — poszli w świat i nawet nie przyznają się do nich. Spostrzeżenia autora kują argumenty nie tyle przeciwko przypadkowości macierzyństwa, co za jego ochroną. Dziecko nieślubne nie zawsze jest nieszczęściem. Niejednokrotnie ratuje ono kobietę i moralnie i fizycznie. Straszny jest fakt opuszczenia jej. Niesprawiedliwością jest zwolnienie z odpowiedzialności ojca. I pod tym względem mamy bardzo dużo do zrobienia. Ustawodawstwo nasze jest tak niekompletne, że w sądach bywają dopuszczani do przysięgi nie matki, ale ojcowie i na podstawie ich zeznań, całkiem widocznie urągających prawdzie oddala się skargi o alimenta. Powolność postępowania sądowego w tych sprawach, nawet wtedy, gdy rzecz jest zupełnie jasna, jest tak potworna, że nie jedno, ale setki dzieci mogą umrzeć z głodu nim dostaną środki na utrzymanie. Nastawienie sędziów względem skarg alimentarnych jest też b. często nieprzychylne i interpretacja ustawy najczęściej wypada na niekorzyść matki. Ot tu jest bolączka, której nie usuniemy bez gruntownej reformy ustawodawstwa.

„Epoka" znów donosi o zabawie dzieci w sad doraźny. „Policjant" złapał „bandytę", „Sędzia" osadził, „kat" powiesił na drabinie. Nauczyciel odciął. Delikwent walczy ze śmiercią. Przykład idzie z góry. To jest nieszczęście, że ustawy układają u nas nie społecznicy, nie twórcy życia i moralności, ale specjaliści prawnicy, którym należy właściwie oddać w ręce tylko ich kodyfikowanie. Oto dla czego wytwarza się takie rzeczy jak sądownictwo doraźne.

Sprawą ochrony macierzyństwa zajęły się poważnie „Epoka", podając referat o postawieniu tego zagadnienia w Rosji Sowieckiej p. dr. Mendelewą. Referat ukazuje wiele ciekawych poczynań rządu sowieckiego. Jest przecież niezmiernie charakterystyczny ze względu na to, że zagadnienie człowieka w nim prawie zupełnie znika. Tam są „sprawy" „kwestje" — przedewszystkiem gospodarcze. Człowiekiem trzeba się zajmować dla tego, że jest czynnikiem wytwórczości. Opieka wchodzi w skład kalkulacji przemysłowej. Gospodarczo rzecz biorąc, jest to bardzo mocne postawienie sprawy, ale tylko wtedy, gdy mierzy się przemysł w skali państwowej. Przemysł pozostający w rękach prywatnych ma rezerwę bezrobotnych, do której łatwo mu sięgać po zniszczeniu swojego „materjału ludzkiego". Warto to zestawić z rzeczowem omówieniem sprawy żłobków fabrycznych przez p. Krachelską w „Kurjerze Porannym" Autorka po zestawieniu tego, co dotąd wykonano, przytacza fakty sabotażu wykonania ustawy o żłobkach przez sfery przemysłowe, sabotażu organizacyjnym. Cały szereg przedsiębiorców skłaniał się do założenia żłobków we własnym, dobrze zrozumianym interesie i cofnął się wobec kategorycznego nakazu Lewjatana. Otóż zachodzi teraz pytanie, czy nie należałoby położyć ręki na związku, prowadzącym antipaństwową robotę udaremniania istniejących i obowiązujących ustaw? Czy nie należałoby pomyśleć o wprowadzeniu tam przynajmniej komisarza rządowego, któryby kontrolował legalność postępowania tej instytucji? Czy nie należałoby w razie ostatecznym poprostu rozwiązać związek i zastąpić go urzędem, któryby kosztował napewno znacznie taniej?

*

W znakomitym reportarzu z ziem kresowych pisze m. in. p. Antoni Wieczorkiewicz o bogactwach Zasłucze:

„W okolicach Hubkowa natrafia się na grafit i to tak płytko, że kawałki grafitu wyoruje się pługiem przy orce. Pozatem w gminie Ludwipolskiej są obfite pokłady szlachetnych gatunków glin ogniotrwałych, kaolinu, kwarcu, szpatu i miki. Jeśli chodzi o kaolin, jest to ten sam pokład, z którego czerpano surowiec do słynnej manufaktury korzeckiej. Część tego pokładu pozostała po stronie sowieckiej i dostarczała surowca do fabryk porcelany i fajansów w Horodnicy i Baranówce....

Złoża kaolinu i glin ogniotrwałych na Zasłuczu badali profesorowie Małkowski i Kowalski z Państw. Instytutu Geologicznego. Badania te wykazały, że kaolin i gliny zasłuczańskie są równej wartości co i czeskie z tą przewagą po naszej stronie, że nasz kaolin znajduje się bezpośrednio pod cienką warstwą ziemi, a czasem występuje wprost na powierzchnię, gdy czeski znajduje się pod ziemią na głębokości 150 do 200 m.".

I dalej: „Według sprawozdań Gł. Urzędu Statystycznego sprowadziliśmy w roku 1927-ym kaolinów i glin szlachetnych 125 tys. tonn, w roku 1933 przy ogólnem zmniejszeniu produkcji 55 tys. tonn. Sprowadzaliśmy... z Czechosłowacji, z Niemiec i Rosji. I tu spotykamy się z sytuacją w swojej groteskowości drastyczną: kaolin i gliny sprowadzane z Rosji Sowieckiej pochodzą z tego samego zasłuczańskiego złoża".

Chyba dość. Oto jest nowa gałąź pracy. Dlaczego nie wyzyskana? Czy nie byłoby rzeczą pożyteczną zapomocą presji podatkowej zmusić panów przemysłowców importujących te artykuły, skorzystać z kredytów Funduszu Pracy i stworzyć w Polsce nową gałąź przemysłu, względnie rozszerzyć niedostatecznie rozwiniętą. Przecież my naprawdę mamy bezrobocie. A ostatecznie, czyby nie można podjąć tych prac na rachunek państwa?

PROSIMY O NADSYŁANIE ADRESÓW POD KTÓREMI NALEŻY WYSYŁAĆ OKAZOWY NUMER NASZEGO PISMA

WZNOWIONY SPÓR

Przed dwoma laty mniej więcej wygłosił p. red. Ignacy Matuszewski odczyt na temat stosunku literatury do życia. Prelegent zdumiał się, że literatura nie spostrzega niektórych jego objawów, że daje się wyprzedzać przez fakty, że nie widzi sił twórczych działających w społeczeństwie spółczesnem. Zbiegło się to dziwnym trafem z dyskusją, jaka wynikła na podobne tematy pomiędzy Juljuszem Kaden Bandrowskim a niżej podpisanym na łamach dodatku Literackiego do „Gazety Polskiej" i „Jutra Rzeczypospolitej". Pewien udział w wymianie zdań wzięły i „Wiadomości Literackie". Wyników nie osiągnięto. I oto teraz wznawia tę samą sprawę mniej więcej pan Adam Skwarczyński na łamach nowego pisma literackiego „Pion".

„Czas — pisze utalentowany publicysta — by to, co w Polsce żywe i świadome, zdało sobie sprawę, że odrodzenie wolności narodowej, odbudowanie Państwa, nie zostało zauważone przez literaturę polską. Po za kilku osamotnionemi postaciami ogół literatów nie wyciągnął z tego faktu dziejowego żadnych konsekwencyj".

Pan Skwarczyński szuka przyczyny tego w tem, że już literatura romantyczna była oderwana od narodu, powstawała na emigracji i żąda — przezwyciężenia jej. W gruncie rzeczy już następny artykuł „Pionu", pióra p. Horzycy stanowi odpowiedź pośrednią p. Skwarczyńskiemu, odpowiedź ujętą bardzo głęboko i wnikliwie ze stanowiska oceny wartości twórczych, stworzonych przez niewolę. Pozostaje ona przecież na gruncie literacko-filozoficznym. Odpowiedź publicystyczna ukazała się dopiero znów w dodatku literackim do „Gazety Polskiej" podpisana przez Juljusza Kaden-Bandrowskiego.

Sprawa została odwrócona. Skwarczyński pyta, co literatura zrobiła dla Państwa. Kaden Bandrowski zapytuje, co Państwo uczyniło dla literatury? Odpowiedź wypada katastrofalnie. Nic nie zrobiono w kierunku rozwinięcia czytelnictwa. W szkołach zakazywano omawiania najcelniejszych utworów literatury. Trwała dzika nagonka na pisarzy śmielej ujmujących zagadnienia społeczne, moralne. Odrodzona Rzeczpospolita nie zdobyła się na stworzenie akademji literatury. Kaden-Bandrowski przytacza aż poniżający fakt targów o koszty pogrzebu Żeromskiego.

A więc? Jak Kuba Bogu tak Bóg Kubie?

Nie. Tu chodzi o coś znacznie większego. Zaczerpniemy przykład inny. Oto bezcenne rękopisy niszczeją w wilgoci Bibljoteki Jagiellońskiej i niema za co ich ratować, niema środków na ocalenie tego istotnego skarbu naszej kultury — ale Ministerstwo Oświaty ma wspaniały, nowy pałac. Muzeum narodowe świeci nagością murów, a obok zbytkowny, dorobkiewiczowsko-wystawny gmach Banku Gosp. Krajowego.

Oto przykłady, uderzające każdego. Oto dysharmonja tragiczna pomiędzy tysiącletnią kulturą społeczeństwa, a niemowlęctwem organizmu państwowego, który stać na wypełnienie funkcyj fizjologicznych, ale nie dojrzałego do troski o dobra kultury — dobra ducha.

Józef Piłsudski to nie tylko wojownik wsławiony, nie tylko mąż stanu, to wielki Człowiek natchnienia — to potężny umysł, widzący naprawdę jasno pewne zjawiska. Przypomnijmy sobie przemówienie Jego w sali Malinowej i Jego ocenę wartości narodu i rozbieżność pomiędzy tem, czego on się spodziewał i co było istotnie. Ta rozbieżność żyje w nas, publicystach, społecznikach i dobrze, że jeszcze mocniej żyje w artystach.

I oto drugi fakt, który przyjdzie w tej chwili z sukursem Kaden-Bandrowskiemu, polegający na stwierdzeniu, że jest odbudowane Państwo, ale jeszcze nie dokonało się odrodzenie narodu. Nie dokonało się, i względem rzeczywistości polskiej wszystko, co jest żywe i twórcze, musi pozostawać w skrajnej opozycji. Nasza walka jest nieskończona — nasza walka trwa i trwać musi i trwać będzie w dalszym ciągu.

To jedno. Ale pozostaje pytanie, czy sama płaszczyzna dyskusji obrana przez p. Skwarczyńskiego jest słuszna.

Mickiewicz, Słowacki byli naocznymi świadkami powstania listopadowego. A przecie w poezji ich tak mało jest o tym fakcie. Epopei napoleońskiej poświęca Mickiewicz tylko kilka ustępów Pana Tadeusza. „Noc Listopadowa" będzie czekała na swego piewcę całych lat osiemdziesiąt. A dalej: Jaki oddźwięk u Goethego znalazły walki Niemiec z Napoleonem? Co znajdziemy w ich literaturze w odpowiedzi na zjednoczenie Rzeszy? Jakiemi wiekopomnemi dziełami zareagowała Francja na kolosalny przewrót rewolucyjny, który się w niej dokonał? Jakie trwałe pomniki literatury powstały natychmiast w odpowiedzi na wielkie wydarzenia? Kiedy wyprawy krzyżowe znalazły swych piewców? Longfellow pisał przecie nie o Waszyngtonie — lecz o Hajawacie. I jeszcze jedno — czy literatura odezwała się na takie rzeczy, jak odkrycie Ameryki? Czy są jakieś wiekopomne dzieła głoszące chwałę Bleriota?

Trzeba by było bardzo poważnie pomyśleć nad temi pytaniami, zanim się wystąpi z zarzutem podobnym temu, zanim się postawi postulaty w rodzaju nakazu: „Pamiętajcie o życiu współczesnem!" Gdynia jest sama przez się dziełem natchnienia — czynu. Jest ona sama przez się dziełem wielkiem, potężnem, imponującem. Ale cóż stąd? ten, kto będzie rozwodził się nad nią, kto będzie się nią zachwycał — stworzy najwyżej komentarz dla Gdyni, będzie doszukiwał się sposobu zarejestrowania faktu — nie stworzy nowych dróg, ani nowych wartości. Poeta — pisarz musi stanąć ponad Gdynią — musi szukać za nią wartości jeszcze nie odkrytych, musi otwierać nowe drogi.

„Literatura nie spostrzegła..." To nie prawda — literatura stanęła na gruncie tego, co się już dokonało. Literatura nawet wtedy, gdy daje nam obrazy przeszłości żywej jeszcze dla starszego pokolenia, nawet wtedy ocenia już je z tego gruntu niepodległości. Proszę wczytać się w „Dnie i Noce" Marji Dąbrowskiej, proszę wniknąć w opisywany przez nią stosunek Bogumiła do przeżyć powstańczych — toż to jest to, co Autorka widziała sama już znacznie później — to jest stosunek żołnierza do tego, co robił, żołnierza, który nie staje na szczudłach, bo wie, że udział w wielkich wydarzeniach — to nie tyle zasługa, co zaszczyt, to los szczęśliwy, który nam udało się wygrać i którego będą nam zazdrościć generacje późniejsze — jak myśmy w swoim czasie zazdrościli legjonistom Dąbrowskiego.

I niech że ci szczęśliwi nie żądają więcej — bo po-

nad to, co sobie stworzyli, nie może być nic większego. Glorję nad nimi dopiero przyszłość rozepnie.

Bodaj zresztą czy nam krytykom i publicystom wolno występować tak apodyktycznie, czy do nas należy wskazywanie dróg, któremi ma kroczyć literatura. Drogę twórca znajduje we własnem sumieniu — narzucić mu jej niemożna — to bezowocny trud. Nasze zadanie jest zgoła inne. Myśmy powinni pokazać co i jak w ich dziełach się odbiło. Naszą rzeczą jest interpretacja. A jeżeli w literaturze zabrakło tego, co nas zapala w życiu — trzeba znaleźć społeczne przyczyny tego braku, trzeba je uwypuklić, trzeba je podnieść. Wtedy dopiero spełnimy należycie swe zadanie.

I jeszcze jedno. P. Skwarczyński mówi o „ogóle polskich literatów". Otóż to jest kapitalny błąd. Ogółu pisarzy wogóle niema. Jest ogół szewców, introligatorów, urzędników, nauczycieli. Jest i ogół wierszo- czy powieściorobów. Ale ten „ogół" do literatury nie należy. To biedna brać rzemieślnicza, zarobkująca kiepsko na kawałek chleba. Po nich nie zostanie nic, jak nie zostało po różnych Korsakach, Gorczyńskich i innych poczciwcach z epoki romantyzmu. Kiedy mowa o literaturze — to należy mieć na myśli tylko te „odosobnione postacie" — ich miarą przyszłość będzie mierzyła nasze czasy — ich tylko przystoi widzieć i krytykowi.

A. Uziembło.

INICJATYWA I ORGANIZACJA

Ustawa o Funduszu Pracy jest szeroka i daje tej instytucji ogromne pole do działania. Daje i środki. Nie takie, jakich trzeba do zwalczenia bezrobocia w całym kraju — wystarczające jednak do podjęcia poważnej inicjatywy, do przeprowadzenia całego szeregu poczynań pierwszorzędnej doniosłości. Dyrekcja Funduszu przystąpiła do pracy z dużym zapałem i sporym rozmachem. Zatrudnienie w ciągu sezonu 63 tysięcy ludzi — to nie bagatela. Nie jest też bagatelą wydatek około 14 miljonów złotych na pomoc dla bezrobotnych.

Czy wydatki te były celowe? Niewątpliwie tak. Czy wydatki te mogłyby być lepiej użyte, dać poważniejsze skutki? Zarząd Funduszu Pracy zdaje się być mniemania, że wiele w tej dziedzinie można ulepszyć. I właśnie to jest w jego poczynaniach najbardziej cenne, to jest w jego ujmowaniu zagadnienia najbardziej uznania godne, że niechce bynajmniej zasklepić się w rutynie, w nagromadzonych drogą dedukcyjną zasadach i formułkach, że wykonując to, co jest pod ręką, to co w danej chwili zdaje się być najbardziej pilne — szuka nieustannie dróg nowych i wytęża wszystkie siły i niepoślednią wiedzę swych kierowników, by nadać organizacyjne kształty inicjatywie, która z zewnątrz pochodzi — tę inicjatywę pobudzić i wykorzystać w możliwie najszerszej rozciągłości. W tem widzimy poręczenie skuteczności pracy, której wyniki nieustannie będą korygowane przez doświadczenie nabyte bezpośrednio i zyskane w ośrodkach współpracujących.

Bezrobocie w tych rozmiarach, w jakich je dziś przeżywamy, jest rzeczą nową i niema w najbliższej przeszłości przykładu, któryby mógł nas należycie pouczyć o metodach jego zwalczania. Praca w tym kierunku z natury rzeczy musi być zatem pod wieloma względami odkrywczą, pjonierską. Właśnie w tej myśli został przez Fundusz Pracy zwołany zjazd działaczy społecznych, pracujących na różnych odcinkach tego zagadnienia, dla wyrobienia należytego poglądu na formy pracy kulturalnej, z jaką należy pośpieszyć do tej rzeszy liczącej kilkaset tysięcy ludzi, pozbawionych środków do życia.

Zjazd był nieliczny, a do udziału w nim uczestnicy zaproszeni byli osobiście. Chodziło o to, aby uzyskać ich osobiste doświadczenie, nie zaś uchwały i tezy ciał zbiorowych, któremi byliby skrępowani, których musieliby bronić.

Dwudniowej dyskusji przewodniczyli pp. dyr. Grunwald i dyr. Korniłowicz. W ciągu niej po za szeregiem pierwszorzędnych zagadnień oświatowo-kulturalnych na czoło wysunęła się zasada, wypracowana nie tylko w ogólnym zarysie, ale we wszystkich szczegółach pracy przez Obywatelski Komitet Pomocy Społecznej w Warszawie. Pomoc kulturalna ma być skierowana ku powstrzymaniu procesu lumpenproletaryzacji ludności bezrobotnej. Należy nie dopuścić do stałego wykolejenia jednostek ludzkich, dołożyć wszystkich starań, by psychikę człowieka utrzymać w gotowości do przyjęcia pracy, w pożądaniu jej i poszukiwaniu. Trzeba człowieka ponadto uodpornić, wskazać mu wszystkie sposoby istniejące do ulżenia życia, pouczyć o prawach, z jakich może korzystać i t. d. Oto, co powinno stanowić wytyczną dla pracy kulturalnej.

Stąd płynie nieoparcie wniosek, że pomoc materjalna nie może być wyłączną formą pomocy — ale stanowić musi kościec pomocy społecznej, rusztowanie, na którem wspiera się czujna i systematyczna praca nad podniesieniem samowiedzy ludzkiej, zdolności do walki z życiem, sił psychicznych jednostki.

Kto wie, czy ożywienie obrotów gospodarczych pozwoli wszystkim ludziom wrócić do dawnego trybu zarobkowania. Kto wie, czy warunki nie zażądają od nich wyższych kwalifikacyj, większej sprawności, szerszej zdolności orjentacyjnej, samodzielności? Kto wie, czy dziś nie można dać człowiekowi w ręce pewnych umiejętności, które go na nogi postawią? To właśnie jest przedewszystkiem zadaniem pracy oświatowej, kulturalnej i opiekuńczej. Tak ją zrozumiano w Funduszu Pracy, z takiego postawienia sprawy płynęły i zapytania do działaczy.

Fundusz Pracy — jak możemy sądzić z zapowiedzi — nie poprzestanie na jednej konferencji i w dalszym ciągu będzie konsekwentnie na tej drodze zdążał do wyrobienia najskuteczniej zmierzających do celu metod pracy, możemy mieć co do tego jak najlepsze nadzieje, gdyż w wielu wypadkach na różnych odcinkach osiągnięto u nas już teraz bardzo wiele.

Poczynania przecież Funduszu Pracy mają jeszcze głębsze, jeszcze poważniejsze znaczenie. Łamie on przesąd, który się zagnieździł w niektórych kołach o omnipotencji administracji. Administracja nawet najlepsza, nawet najsprawniejsza wykonuje rzeczy wypróbowane, objęte planem, ustalone przez ścisłe instrukcje. Wkładanie na nią pracy doświadczalnej, przekraczającej normy przepisów bodaj że prowadziłoby do jej anarchizowania. Praca doświadczalna musi być oddana w ręce czynników społecznych, wśród których łatwiej o inicjatywę — wśród których ta inicjatywa jest naprawdę możliwa i pożyteczna.

Fakty potwierdziły ten pogląd w całej rozciągłości. Konferencja wykazała, że władze administracyjne terytorjalne nie dostarczyły Dyrekcji Funduszu Pracy nawet dość wyczerpujących informacyj o już istnie-

jącej inicjatywie społecznej w tym zakresie, nie zgromadziły wyników działalności instytucyj, które przez szereg lat pracy zbierały bardzo poważny materjał.

Nie chodzi nam w tym wypadku o stawianie zarzutów. Bodaj że nie można tego nawet stawiać w płaszczyźnie winy. Pomoc społeczna wymaga dziś bardzo poważnego, specjalnego wykształcenia, którego nie można wymagać od najwybitniejszego nawet znawcy innych dziedzin. Fundusz Pracy to należycie ocenił i to nadaje jego poczynaniom cechy żywe. Pulsuje w nich krew.

Stanowić też on będzie zachęcający przykład dla wielu innych gałęzi poczynań państwowych.

J. Surzyński.

WALKA Z BEZDOMNOŚCIĄ

II.

Skoro nabraliśmy przekonania, że kamienica w dzisiejszych warunkach nie może nęcić nikogo, jako lokata kapitału, że nie może stanowić widoków do trwałego zysku, wniosek może być tylko jeden, oto, że organy publiczne muszą się tą sprawą zająć, muszą postawić sprawę na tym poziomie, by każda rodzina, każdy obywatel mógł zostać właścicielem swojego mieszkania, mógł sam dla siebie takie mieszkanie wybudować. I tu trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że sprawa ta nie da się rozwiązać na gruncie spółdzielczym, w dzisiejszych warunkach społecznych nikt nie odda gros swego majątku spółdzielni, pragnie mieć ubezpieczenie mieszkaniowe nie tylko dla siebie, ale dla swojej rodziny i zupełnie słusznie nie chce uzależniać tytułu własności rzeczy użytku, rzeczy codziennej konsumpcji od jakiegoś organu. Spółdzielczość mieszkaniowa, powiedzmy to sobie twardo, właściwie mówiąc niema nic wspólnego ze zdrowo pojętą ideą spółdzielczości i jeżeli zbankrutowała u nas, jeżeli doprowadziła do skutków zupełnie opłakanych, to właśnie dla tego, że wspólną własnością uczyniła nie narzędzia produkcji, nie instrumenty aktywności gospodarczej, ale rzecz użytkową, coś, w czem człowiek musi z natury rzeczy być jedynym i wyłącznym gospodarzem. Wspólna administracja domu czy kompleksu domów jest zupełnie czem innem i może być zorganizowana na zasadach udziałowych, ale podstawą tej udziałowości powinno być tylko i jedynie własność stała poszczególnych części tego domu.

Otóż pytamy teraz, czy istotnie uwłaszczenie mieszkaniowe jest rzeczą niemożliwą, czy istotnie jest ono tak kosztowne? Zwróćmy uwagę, że w Ameryce za czasów pomyślności sprzedawano domki letnie w sklepach. Cena takiego domku trzypokojowego wynosiła około 295 dolarów. Przeliczmy to na nasze pieniądze i na nasze stosunki drożyźniane, a przekonamy się, że według wskaźnika cen u nas taki domek lekki, letni powinien by kosztować nie wyżej 600 złotych! Domek solidny, zimowy ze wszystkiemi urządzeniami nie powinien kosztować w Polsce więcej niż 800—1 000 zł za izbę, co przy piętnastoletniej amortyzacji i oprocentowaniu kapitału włożonego na 6% daje spłaty miesięczne około 10 zł od jednej izby.

Rzecz jasna, że wszystko to jest najzupełniej możliwe pod jednym warunkiem — oto, że budowa odbywać się będzie na podstawach normalizacji, że wszystkie elementy jej będą ustandaryzowane, że nie będzie najmniejszych odskoków od ustalonych raz norm ani pod względem wielkości szyb w oknach, ani pod względem umieszczenia klamek we drzwiach, ani pod względem rozkładu izb wewnątrz mieszkania. Rzeczą techniki jest ustalić ilość dopuszczalnych typów i możliwość luzów dla zadowolenia wymagań indywidualnych — poza to przecie żadnych wykroczeń być nie może.

Drugim warunkiem jest szybkość budowy. Podejmować ją można z tem, że rozpoczęte budowle wykończone zostaną w ciągu kilku miesięcy i natychmiast oddawane do użytku.

A warunkiem tego wszystkiego jestześrodkowanie budowy w jednem ręku, poddanie jej jednemu kierownictwu nie tylko w jednem mieście, ale w całym kraju. Tylko wtedy bowiem przystosowanie istniejących warsztatów produkcji do potrzeb taniości będzie się naprawdę opłacać, będzie mogło w krótkim czasie zamortyzować włożony kapitał.

I oto powstaje sprawa środków, potrzebnych na to kolosalne przedsiębiorstwo. Obliczano je na miljardy. Miljardom przecież nie sprosta ani nasz przemysł, ani podaż rąk roboczych. Zawsze trzeba pamiętać o tem, że jeden robotnik stojący przy budowie zatrudnia od 17 do 36 innych robotników w całym szeregu gałęzi przemysłu, dostarczających niezbędnych materjałów i narzędzi. Zważmy następnie, że przy cenie 1000 zł od izby jeden miljon pozwala nam dać izb tysiąc. Program roczny budownictwa mieszkaniowego nie powinien przekraczać na razie jakich 100 do 200 miljonów złotych.

Klęską dotychczasowego budownictwa był fakt, że zanim ktoś rozpoczął budowę, musiał wykazać się posiadaniem ziemi. Otóż pod tym względem sprawę należy odwrócić. Ziemię przeznaczoną na budowę należy przejąć w większych kompleksach wzamian za obligacje instytucji budującej. Ustawa odpowiednia powinna upoważnić rząd i samorząd nie tylko do wydawania własnej ziemi, ale nadto do wywłaszczania na ten cel większych jej kompleksów na zasadzie długoterminowego kredytu z tem wyrachowaniem, że właściciel domku poczyna spłacać plac dopiero po zapłaceniu budowy. W ten sposób na dalsze rozpłaty bierze się to, co stanowi dziś kapitał martwy. Przy spłacie 15 mniej więcej złotych miesięcznie od ubikacji amortyzuje się koszta budowy w ciągu lat 7 przy stopie procentowej 6. W ósmym zatem roku rozpoczyna się wykup obligacyj za grunta.

Gotówka na ten cel powinna iść przedewszystkiem z Funduszu Pracy, który może dostarczyć jeszcze tańszego kapitału w ilości jakich 60—70 miljonów złotych rocznie, może nawet i 100, to jest całość swych wpływów. Licząc siedmioletnie spłaty już przy tym kapitale można zupełnie śmiało liczyć na 10 miljonów złotych już w pierwszym roku od samych odbiorców właścicieli domów. Kredyt do wysokości około 20 do 30 miljonów złotych może iść z Banku Gospodarstwa Krajowego. Suma ta odpowiada temu, co dziś na ten cel się przeznacza. Stanowi to podstawę do wybudowania odrazu 90 tysięcy izb mieszkalnych. Lata następne będą wzmagać tempo robót nie tylko przez wzrost sum odsetkowych, ale przez możliwość dokonywania szeregu operacyj kredytowych w postaci wypuszczenia polis ubezpieczenia mieszkaniowego, a ewentualnie i rozpisania wielkiej pożyczki wewnętrznej budowlanej, której obligacje

upoważniały by do przedterminowego otrzymywania domków oraz do spłacania należytości za nie przy odsetkach zniżonych. Podnosimy, że pożyczkę taką amortyzowałaby sama różnica pomiędzy komornem dziś płaconem, a przyszłem.

Należy pamiętać, że całe budownictwo pozostaje w sferze wewnętrznego obrotu gospodarczego — operacje kredytowe więc tutaj nawet na dłuższe terminy, operacje dokonywane w kole zamkniętem, którego końce schodzą się w jednej wielkiej instytucji ubezpieczeniowej nie są niebezpieczne i w żadnym razie nie grożą inflacją kredytową, a tem mniej walutową — mogą więc być dokonywane z całą swobodą — wpływ zaś ich na życie gospodarcze, a więc i na finanse państwowe z natury rzeczy musi być tylko dodatni.

W całej tej organizacji wszakże musi być przeprowadzony ściśle podział kontrahentów. Po jednej stronie stoi nabywca lokalów. Ten w żadnym razie nie może mieć nic wspólnego z samą budową. Z drugiej strony jest instytucja ubezpieczająca, finansująca akcję, zajęta wyłącznie tem finansowaniem. Tu mogą zasiadać przedstawiciele kapitału gotówkowego i wniesionego w postaci aportów gruntowych. Ich kontrahentami są przedsiębiorcy budowlani, którzy mają do czynienia z osobną grupą dostawców materjałów. Mieszanie tych grup było by rzeczą niezmiernie szkodliwą i wytwarzało by ścieranie się interesów nie w pertraktacjach otwartych, ale w tarciach wewnątrz organizacji, gdzie oczywiście przeważać by mogły wpływy zupełnie przypadkowe, a polityka musiała by iść drogą łamaną, jak to widzimy na przykładzie takiej instytucji jak Kasa Chorych i inne tp.

Planowi temu można zarzucić jedno. Koszta elementów mogą pójść w cenie. Jeżeli plan się powiedzie, to życie gospodarcze ruszy z martwego punktu, mogą wzrosnąć wszystkie składniki kalkulacji. Tak jest ze wszystkiem, z wyjątkiem coraz dalszego udoskonalania produkcji, która powinna to wyrównać. I właśnie na tem polega sprężystość organizacji, by ten wzrost cen, zupełnie naturalny, przewidziała. Nie jest wykluczone, że w pewnych warunkach dopuszczalna będzie nawet podwyżka spłat, nawet podniesienie pierwotnej ceny nabywczej, względnie reszty niespłaconej w razie, jeżeli konjunktura się zmieni na lepsze. A będzie to miało i tę korzyść, że w wielu wypadkach może zachęcić nabywców do szybszego spłacania należności, co—tuszymy—nie będzie niemożliwe, ba, nie będzie nawet ciężkie, jeżeli zważymy, jakie ceny dziś płacimy w postaci komornego.

Zdaje się, że wyjście, o którem mówimy jest wyjściem naprawdę. Otwiera ono szeroko drogę do wielkiej akcji, która nie tylko ma zapewnić ludziom dach nad głową, ale walnie się przyczyni do pomniejszenia samego bezrobocia. *St. Roth.*

NA KRAWĘDZI

Zadanie pomocy społecznej nie zawsze polega na żywieniu. Czasem jest ono o wiele trudniejsze. Trzeba podtrzymać człowieka w krytycznym momencie — właśnie w tej chwili, gdy wszystko go pcha do upadku, wszystko strąca go na samo dno istnienia. I nigdy nie można z góry powiedzieć, co w danej chwili jest dla jednostki najpotrzebniejsze. Ogarnąć wypada całość jej sytuacji i uderzyć w to miejsce, które wyzwoli z niej siły do podźwignięcia się.

Będziemy mówili na przykładach, które łatwo sprawdzić na podstawie dokumentów, przechowywanych w odpowiednich teczkach Stacji Pomocy Matce i Dziecku Ob. Komitetu Pomocy Społecznej.

Pierwszy przykład. Robotnik z branży gumowej nazwijmy go X, dwa lata pozostaje bez pracy. Niszczeją wszystkie oszczędności. Zostaje przyzwyczajenie do dawnego poziomu życia. Mieszkanie utrzymane czysto, nawet z pewną estetyką. Jest dwoje dzieci. Żona ciężko chora na żołądek. Niepowodzenie, brak pracy doprowadzają człowieka do depresji zupełnej. Bunt przeciwko gniotącej go niesprawiedliwości społecznej wyładowuje się w stosunku do całego otoczenia. Dom chwilami staje się dla nich katownią. Wreszcie przychodzi ostatni moment — groźba eksmisji.

I oto człowiek w tej ostatniej chwili, kiedy sprawa już jest w toku, przychodzi do poradni prawniczej. Zaległości komorniane ogromne. Sprawa jest trudna bardzo. Dzięki obronie adwokata sekcji zostaje wygrana. Ale nie minął miesiąc, gdy gospodarz wznawia skargę — tym razem o awantury, o wymyślanie, o aroganckie zachowanie się wobec upomnień o płacenie komornego, o podburzanie do niepłacenia komornego innych lokatorów. Trzecia część mieszkańców kamienicy wraz z dozorcą stają w charakterze świadków, potwierdzając w całej rozciągłości wywody pozwu. Po jego stronie staje na wezwanie adwokata tylko opiekunka Sekcji, nie negując faktów, wyjaśniając tylko sądowi tło sprawy, wyjaśniając podłoże tego wszystkiego — owo wyjątkowe nieszczęście, które naprawdę zrujnowało system nerwowy człowieka, czyni go chwilami nawpół tylko poczytalnym. Na tem właśnie opiera się obrona — prawie beznadziejna. Skarga zostaje oddalona, co podnieść należy, na chlubę naszego sądownictwa I instancji.

Jednocześnie Sekcja rozciąga opiekę nad kobietą i z niesłychanym trudem lekarzowi udaje się doprowadzić ją do zdrowia.

Kto wie, co przeżywa człowiek tracący mieszkanie, wyrzucany z dwojgiem dzieci na bruk, skazany na tułaczkę — licho wie gdzie, na tułaczkę w czasie której baraki na Annopolu wydają się rajem; kto przeżył, stojąc przed kratkami sądu chwile nieśmiertelnej trwogi, przed wyrokiem, który za chwilę zadecyduje o całem życiu człowieka niewinnego, — ten tylko może zrozumieć ten wstrząs, jakiego doznaje jednostka uratowana. Oto nagle poczuł, że w tem społeczeństwie, które go skazało szorstko na nędzę, jest ktoś, kto mu podaje rękę. W słowach obrony usłyszał troskę o siebie, w świadectwie opiekunki zrozumienie swej krzywdy. I tę troskę i to zrozumienie podzielił w imieniu Rzeczypospolitej Sąd. Więc rzuca się ze zdwojoną energją do szukania pracy. Znajduje ją. Wyleczona żona także dostaje zarobek. Trochę napływającego grosza pozwala na zapłacenie bieżącego komornego, a nawet złożenia pieniędzy na poczet zaległości. Eksmisja przestała grozić.

Rzecz charakterystyczna, że X nie zrywa stosunków z Sekcją, że wciąż przychodzi po porady w sprawach urządzenia życia, spłaty długów, wychowania dzieci. Spokój w domu zapanował zupełny.

A oto drugi fakt. Ślusarz-szofer — bez pracy, powiedzmy Zet. Odsiedział pół roku więzienia za kradzież próbek firmy, w której był zatrudniony. Wszystkie dane każą przypuszczać, że zaszła tu fatalna omyłka sądowa, że sprytny oszust ajent poprostu zwalił winę własną na niego. Wszystkie starania uzyskania pracy zawodzą. Zresztą Zet uparcie szuka jej w firmie, która wtrąciła go do więzienia. Szuka

tam właśnie, bo chce rehabilitacji — pragnie jej z uporem manjaka.

Jedna z opiekunek znalazła go w chwili najtragiczniejszej. Proces eksmisyjny już wytoczony. Mało tego — dziecko zachorowało na zapalenie płuc. Matka obnosiła je po wszystkich szpitalach, jakich adresy znała i nigdzie nietylko go nie przyjęto, ale nie udzielono żadnej pomocy lekarskiej. (Śledztwa w tej sprawie nie było!).

Przed ślusarzem otwarła się przepaść. Przepada mieszkanie, a jedyne dziecko—na progu śmierci. Człowiek jest zupełnie zdziczały. Sprowadzony do Sekcji ledwie raczy mówić. Z tępem szyderstwem traktuje porady adwokata, pomoc przyjmuje jak z łaski, bez najmniejszej wiary w jej skuteczność.

Lekarce Sekcji udaje się uratować dziecko. Adwokatowi — wstrzymać eksmisję. I oto człowiek przekonał się, że rady są skuteczne, że jakaś życzliwość jest na świecie, że nie jest on tak bezwzględnie opuszczony. I znów napływ energji. Może poczuł w zaufaniu, z jakiem się doń skierowano, choć częściową rehabilitację. Wysiłek — dał mu pracę. Dziś już zarabia. Z półzdziczałej jednostki stał się człowiekiem uprzejmym, spokojnym. Szyderstwo względem sekcji zastąpiło przywiązanie i ufność. Żadnej opieki materjalnej oczywiście nie potrzebuje, a przecież nieraz wstępuje, aby zasięgnąć porady w sprawach życiowych.

H a p p y e n d w obu wypadkach, może ktoś powiedzieć, jest rzeczą przypadku. Nie wynikał on z pracy Sekcji—przyszedł z zewnątrz. Oczywiście, jeżeli chodzi o pracę — ta przyszła z zewnątrz. Tylko Sekcja sprawiła to, że obaj ci ludzie mogli się jej doczekać. Wyrzucony na bruk, bezdomny, mieszkaniec baraków już pracy nie dostanie. Jego się będą bali. Eksmisja rozrywa rodzinę — niszczy tę komórkę społeczną — zwalnia jednostkę z wszelkich obowiązków — puszcza samopas. W jednym wypadku choroba żony, w drugiem wisząca śmierć dziecka stanowiły jeszcze jeden cios w spoistość rodziny. W czas podana ręka wzmocniła więzy.

Otóż właśnie o to chodziło. W obu wypadkach dożywianie nie było stosowane — wszystko obracało się na gruncie rozmów, odwiedzin, przekonywań — do tego przyszła wydatna pomoc prawnicza i skuteczna pomoc lekarska. I wyniki były. Były dla tego, że jak zawsze, tak i w tym wypadku — Sekcja wzięła pod opiekę jednostkę — zbadała istotne jej potrzeby i dała oparcie tam, gdzie się wszystko załamywało.

P. Wyszkowska.

ANARCHJA SIĘ SZERZY

Nadchodzą wieści, świadczące, że na południowym wschodzie ziemi Halickiej znów podnosi głowę anarchja. Szereg napadów, w tem kilka krwawych, ostatni mord, popełniony w konsulacie sowieckim. U. O. N. działa — „pracuje".

Każdy napad na wsi powoduje obciążenie gmin obowiązkami wartowniczemi, naraża ludność okoliczną na dochodzenia, śledztwa, sprowadza aresztowania, których ofiary są w znacznej części niewinne. Zniechęca to ją do terorystów. Ale, jeżeli bojowiec zawiśnie na szubienicy, obywatel ukraiński widzi dogodnie, że przykrości, na jakie on został narażony są drobiazgiem wobec tego, co poświęcił tamten. I idzie do cerkwi na panichidę. Idzie, choćby był przeciwnikiem akcji zbrojnej. Kraj Halicki nie jest wielki. Każdy człowiek czynny na tem, czy innem polu jest znany wszystkim, o czem mogliśmy się przekonać bodaj z przewodu sądowego w procesie Samborskim. Idzie więc człowiek, by oddać ostatnią posługę pamięci znajomego, albo kuzyna znajomego. Tam, pośród dymu kadzideł i szeptów ściszonych, wobec majestatu śmierci powstaje legenda. Nigdy by ona bez mogiły nie powstała — na grobie wyrasta wysoko — pleni się bujnie.

I akcja sabotażowa, czy jak się to zowie w języku urzędowych agencyj, nabiera sił moralnych i materjalnych. Cóż tedy pozostaje? Pacyfikacja?

Życie wykazało jej nieprzydatność w perspektywie czasu. Zastraszenie skutkuje tylko na moment. Na razie ubezwładnia, ale hoduje wściekłość i żądzę odwetu. Trzeba poważniej i głębiej ocenić sprawę.

Teror jest bądź co bądź aktem rozpaczy. To strasznie kosztowna broń. Rzuca się doń człowiek wykolejony, który sądzi, że nie ma nic do stracenia. Niema do stracenia nic ze względów narodowych — nic też i osobiście. Ukraiński inteligent, czy pół-inteligent właśnie bardzo często jest w tem położeniu. Na rolę już wracać nie może, bo w przeludnionym pod względem agrarnym kraju na ziemię wracać nie ma po co, kraj biedny nie posiada poważniejszych placówek prze przemysłowych, czy handlowych, a widoki służby państwowej a nawet samorządowej żadne, albo prawie żadne.

Jakaż tedy droga pozostaje? Jedynie — polityka. Polityka, która daje w perspektywie widoki na mandat poselski — a i bez tego daje możność nieraz takiego czy innego życia. A polityka — to licytacja haseł. W licytacji idzie się aż do sabotażu, którego organizacja posiada środki być może z różnych źródeł płynące. Nawet nieczystych. Tem się tłumaczy udział w tej akcji ludzi przeciętnych, a czasem o wiele mniej niż przeciętnych, gruntownie pozbawionych cech bohaterstwa, jacy się przesunęli przed naszemi oczami w ciągu ostatnich procesów.

To jest stan chorobliwy, który trzeba leczyć. A leczenie polega na wytwarzaniu sytuacji, w której zarówno ludność jak ludzie mają coś do stracenia, mogli mieć nadzieję, że przez pracę coś osiągną, że ich praca nie będzie niszczona — nie znajdowali się jednem słowem w sytuacji rozpaczliwej.

Ukazywały się plany podsuwania Ukraińcom pewnych akcyj, kierowania ich wysiłków ku pewnym celom. Wydawało się na to pieniądze. Oczywiście bezskutecznie. Tak jak bezskutecznem jest zawsze dostawanie się do narodu ponad głowami jego przywódców. Trzeba iść inną drogą i wzmagać pracę organiczną wyrosłą z samego gruntu, wzmagać robotę już istniejącą, siły już działające, które znalazły popularność wśród ludności, znalazły przywódców i wykonawców i kierowników.

Ukraińcy stworzyli tego rodzaju organizację pracy ideowo-gospodarczej, społecznej w całem tego słowa znaczeniu, organizację, która słusznie uważana być może za ich chlubę. To jest gmach spółdzielczości ukraińskiej, której widok musi napełnić podziwem każdego obserwatora. Bez jakiejkolwiek pomocy z zewnątrz powstały kasy, sklepy, warsztaty, mleczarnie, bank, centrale handlowe. Dla coraz nowych zastępów pracowników specjalistów powstają szkoły, wychodzi cały szereg pism fachowych. Spółdzielnia zmienia oblicze całej wsi, organizując jej pracę, sprowadzając

do pół-dzikich dotąd okolic nowoczesne maszyny rolnicze, wytwarzając masła i sery pierwszorzędnej jakości, odpowiadające wymaganiom standartu. Organizacja ta potężnieje i rośnie i coraz głębiej przenika w życie narodu. Organizacja ta nieraz otwierała swe tajemnice przed spółdzielcami polskimi, aby pochlubić się wynikiem uczciwej, solidnej i owocnej pracy, która doprowadziła do tego, że daje obecnie chleb około 5 tysiącom personelu płatnego — stała się zatem poważnym rynkiem wchłaniającym co zdolniejsze siły inteligenckie.

Organizacja ta—w naszem najgłębszem przekonaniu—to najwalniejszy sprzymierzeniec porządku i ładu w Ziemi Halickiej i w okolicach zamieszkałych przez Ukraińców. Z wielu stron słyszy się o jej opozycyjnem nastawieniu, o jej agitacji za samowystarczalnością narodową, o akcji gospodarczej ekskluzywnej i szowinistycznej. Nie mamy pod tym względem złudzeń. Wśród działaczy spółdzielczych ukraińskich nastroje opozycyjne są nie przeważające, ale panujące. To nie ulega najmniejszej wątpliwości. Inaczej nawet być w danej chwili nie może. Ale sama w sobie spółdzielczość nie może być rewolucyjna. Organizuje ona gospodarczy wysiłek społeczeństwa — stanowi komórkę życia gospodarczego państwa. Jest z tem państwem związana tysiącznemi nićmi. Jest zainteresowana w całem ustawodawstwie gospodarczem i w konstruowaniu go musi współdziałać. Nie chodzi o to, czego działacz chce w przyszłości, chodzi o jego ustosunkowywanie się do konkretnych zjawisk. A to ustosunkowywanie się codzień, co godzina zacieśnia więzy pomiędzy ramami życia i rozwijającym się organizmem.

Spółdzielczość ukraińska była też i jest dotąd jedyną agendą życia społecznego tego narodu, która spółżyła jakoś, spółżyła poprawnie i przyjaźnie z odpowiednią dziedziną życia polskiego. To był jedyny teren, na którym przedstawiciele obu narodów spotykali się bez animozji, mówili szczerze i przyjaźnie. Jest to tylko potwierdzenie naszej tezy.

Oto jest teren pacyfikacji stosunków. Oto jest teren, na którym można pracować nad uspokojeniem nieszczęsnego naprawdę kraju. Spółdzielczość ukraińska zasługuje na pilną uwagę i na wielkie poparcie, jakiego potrzebuje dziś każda jednostka gospodarcza. W żadnym razie przecież nie mogą być ze stanowiska państwowego tolerowane jakiekolwiek względem niej szykany. Te bowiem nie tylko przeszkadzają podniesieniu materjalnemu mas ludności ukraińskiej, ale wpajają w jednostki mniej wytrwałe przekonanie o bezowocności wysiłków na polu gospodarczem i pchają gdzieindziej, tam, gdzie rządzi dynamit i rewolwer, gdzie natchnieniem jest sam gniew i sama nienawiść.

Pacyfikację stosunków w Ziemi Halickiej nie doraźną lecz trwałą widzimy—powtarzamy—na drodze otwarcia szerokich możliwości dla pozytywnej pracy. Nie jest to wszystko. Rozrachunki nasze z narodem ukraińskim są bardzo poważne i bynajmniej nie łatwe. Z tego, że nasze długi względem niego są bardzo poważne, zdajemy sobie sprawę nie tylko my, rozumie to coraz lepiej cały myślący ogół. Nawet „Głos Narodu" krakowski, organ bynajmniej nie obcy nacjonalizmowi, zdaje sobie sprawę z konieczności przyznania mu „autonomji kulturalnej". Więc niech też te rozrachunki odbywają się w atmosferze bodaj minimalnego zaufania, pewnej wiary z ich strony, że potrafimy cenić wartość dorobku pracy i woli i zdolności organizacyjnych.

E. Iwanicki.

POWAŻNE NIEBEZPIECZEŃSTWO

Obserwacja życia bezrobotnych wykazuje dość znaczną ilość wypadków zbrodni na tle seksualnem. Do wiadomości władz bezpieczeństwa nie wszystkie dochodzą. Wypadki zgwałceń w rodzinie, defloracji córek przez pijanych ojców pozostają po największej części w tajemnicy. Czasem krąży o nich wieść w kołach zbliżonych, pobudzając fantazję młodzieży. Niejednokrotnie spotykamy się z faktami zmyśleń ze strony dziewczynek na tem tle, zmyśleń, które jako sensacja kolportowane bywają w szkołach, wytwarzając pewną specyficzną atmosferę ciekawości płciowej, a przecież fascynującej.

Dziwić się z tego powodu nie wypada. Jeżeli zdamy sobie sprawę z życia tych ludzi, życia beznadziejnego, życia w najokropniejszych warunkach, w niesłychanej poprostu ciasnocie, gdzie na jednem łóżku sypia po kilka osób, gdzie czynnik wstydliwości poprostu zamiera wskutek niemożności odgrodzenia się nawet w najintymniejszych momentach współżycia od reszty lokatorów, jeżeli się zważy, że dla tych ludzi życie seksualne, obok podniety alkoholem, stanowi jedyną — s i t v e n i a v e r b o — przyjemność, osłodę półzwierzęcego bytu. A przecie prowadzi to do degeneracji. Ilość potomstwa z kazirodczych związków jeżeli dziś jest mała — to — przykład jest zaraźliwy — może wzrastać. Życie płciowe wśród dzieci zaczyna się wcześnie — za wcześnie. Sceny życia małżeńskiego nieraz dla zabawy próbują inscenizować dzieciaki cztero-, pięcioletnie, nie dopuszczając do tych zabaw trzyletnich, jako małych.

W Sekcji Pomocy Matce i Dziecku Ob. Kom. Pom. Społ. zwrócono na to bardzo pilną uwagę. Podjęta została wydatna akcja uświadamiająca. Personel sekcji dostał wyraźne instrukcje jak najszerszej, jaknajintensywniejszej działalności w kierunku odseksualizowania życia podopiecznych przez pogadanki, przez wytężone oddziaływanie na starszych. I nie ulega wątpliwości, że akcja ta odniesie pewne skutki. Słowo ma wartość a przekonywanie indywidualne zwłaszcza wydaje owoce. Sekcja zdołała sobie wyrobić zaufanie i to jest poważna broń w walce z niebezpieczeństwem z tej sytuacji płynącem. Ale przecie trzeba sobie zdać sprawę z tego, że to nie wystarczy, że środki Sekcji są zamałe, żeby mogła ona podołać wszystkiemu.

Walka z alkoholem, walka z przeseksualizowaniem życia nie może opierać się jedynie na uświadomieniu. To nie wystarcza. W człowieku jest dość lekkomyślności i za mało wyobraźni, aby ze względu na przyszłe szkody wyzbyć się czegoś, co dziś stanowi (jakeśmy to rzekli) jedyną osłodę życia. Naturalnie, zwalczenie bezrobocia polepszyło by znacznie warunki przeciwdziałania złu — ale śmiemy twierdzić, że i oneby go jeszcze nie zwalczyły, gdyż same przez się

nie dokonają przewrotu w warunkach mieszkaniowych i tylko stopniowo wprowadzą przeobrażenia w psychicznem nastawieniu ludzi. Tak, czy inaczej i dziś, i jutro, i w warunkach krańcowo złych i w warunkach cośkolwiek lepszych nieodzowna jest akcja inna — akcja w kierunku rozjaśnienia życia tych ludzi — dania im pewnej sumy wrażeń i uciechy innego rodzaju. Oparta ona być musi na organizacji parków ludowych.

Warto, bardzo warto przyjrzeć się temu, co na tem polu zrobiono w Moskwie. Cała olbrzymia połać wybrzeża rzeki Moskwy oddana została na wielki park ludowy, w którym znajdujemy najróżnorodniejsze urządzenia dla kulturalnego spędzenia czasu. Od szachów do boisk sportowych i czytelni jest tam literalnie wszystko. Park posiada jadłodajnię, w której się można posilić. Przebywać tam mogą ludzie zarówno pod dachem, jak i na powietrzu. Jest wielki oddział dla dzieci, gdzie prowadzi się gry i zabawy.

Park nie jest bezpłatny. Wstęp obejmuje umiarkowaną opłatę za używanie wszelkich urządzeń, za posiłek i za opiekę nad dziećmi. Rodzice, pragnący spędzić wolny dzień, mogą zostawić dzieci pod opieką świetliczanek i sami bądź oddawać się sportom, bądź przebywać w czytelni, zupełnie spokojni o to że dzieciarnia ma należytą opiekę i w swoim czasie dostanie mleko na śniadanie i posiłek obiadowy. Właśnie tego rodzaju parki ludowe powinny powstać i u nas. Niestety plan rozbudowy miasta nic podobnego nie przewiduje i powinien być pod tym względem uzupełniony.

Czy powinien on być bezpłatny? W zasadzie nie. Koszta jego należy najdokładniej skalkulować i opłatę pobierać od każdego wstępującego. Bezrobotni mogą być od tej opłaty zwalniani, a jeszcze lepiej powinni odrobić tę opłatę, odrobić ją przy samem urządzeniu zakładu. Ba, ogromną część robocizny zarówno inteligiencko-nadzorczej, jak i w postaci pracy fizycznej można by było otrzymać w postaci opłaty za obiady dla bezrobotnych dziś wydawane, przez co koszta urządzenia takiego parku w znacznej części zmieściły by się w dzisiejszem karmieniu ludności, niemającej środków do życia.

Naszem zdaniem wogóle cały plan budowy powinien by być opracowany jako robota ludzi samych dla siebie, jako praca dla polepszenia sobie warunków życia. Cięższe prace wykonywać mogą dorośli, przy zakładaniu ogródków mogą być zajęte nawet dzieci świetlicowe, mogą dopomóc nawet dzieci szkolne. Trzeba w samym początku włożyć w rzecz nie tylko wiedzę i pieniądz — trzeba w nią wlać nieco entuzjazmu i pobudzić ten entuzjazm wśród ludności zainteresowanej.

Czy można nań liczyć? Odpowiedzią niech będzie widok chociażby pola Mokotowskiego w dzień pogodny. Ze wszystkich stron ściąga tu biedota miejska. Z nor, suteren, piwnic wychodzą ludzie i rozkładają się grupkami na słońcu. Jakieś budy ze strzelnicami, jakieś loteryjki niewymyślne, jakieś stragany z wodą sodową ledwo mogą nastarczyć zapotrzebowaniom. Z braku godniejszej rozrywki ukazują się karty. Na nędzy żerują wszelkiego rodzaju szulerzy. Tam i sam butelczyna wódki wyłazi z kieszeni. Ale większość przychodzi bez alkoholu. Ściąga łachmany i w bieliźnie wygrzewa się na słońcu. To jest potrzeba ludzka!

Pole Mokotowskie powoli się zabudowuje. Luksusowe domki dla inteligiencji wypierają ludność Ochoty z tych obszarów. I już niedługo nie będzie się miała gdzie podziać. Za polem są ogródki działkowe i ogrody Agrilu — (oczywiście deficytowe). Więc czas o tem pomyśleć. I czas pomyśleć na szeroką skalę, obejmując konsekwentnym planem wszystkie dzielnice robotnicze, rezerwując pod parki odrazu niezbędne połacie ziemi wolnej. Współpraca władz rządowych, samorządowych z takiemi instytucjami jak Obywatelski Komitet Pomocy Społecznej może tu zdziałać cuda.

I jest to rzeczą niezbędną. Jest to rzeczą jedyną w walce z tą straszliwą zmorą, jaką jest dzisiejsze przeseksualizowanie życia. Jest to i potężną bronią w walce z niemniej straszną klęską, jaką jest alkohol, który dociera nawet tam, gdzie niema chleba.

A i to fakt, że promień światła, rzucony w życie ludzkie — to ważny odczynnik na to, co dyktować może rozgoryczenie. *M. Maliszewski.*

LATO LOTNICZE

Nieskończone klucze płatowców, co to niedawno unosiły się nad Warszawą, żegnały wielki sezon lotniczy, w którym dokonało się cały szereg wypadków pierwszorzędnej doniosłości.

Próba italska, próba floty powietrznej Stanów Zjednoczonych okazały, że przeloty oceanów — przeszły już z dziedziny nadmiernych, wyjątkowych natężeń jednostek w kraj technicznego opanowania odległości. Angielskie hydroplany olbrzymy, zmieniając pilotów, zapewniając im odpoczynek zupełnie normalny, mogą krążyć pomiędzy kolonjami Wielkiej Brytanji szybko, spokojnie, z zachowaniem wszelkich możliwych ostrożności. Meteorologja pozostaje jeszcze w tej chwili daleko poza tem, co jest potrzebne dla normalnej międzylądowej komunikacji — jest to jednak sprawa stałych stacyj na oceanach — i ta zostaje ostatecznie rozwiązana przez wyspy pływające, z których pierwsza zdaje obecnie egzamin na zachodnich wodach Atlantyku.

Lotnictwo sportowe stanęło na nieznanej dotąd wysokości, okazując swój blask we wspaniałym czynie Skarzyńskiego.

Jednocześnie idą badania coraz wyższych stref powietrza — w stratosferze. Loty Picarda, Lot Prokofjewa, sięgnęły wysokości 16 i 19 kilometrów, to jest przestrzeni, gdzie ciśnienie spada poniżej 55, gdzie opór powietrza maleje do minimum, gdzie lot staje się absolutnie bezpieczny, gdyż niema tam wiatr tej mocy, co aparat, który człowiek na te wyżyny wprowadzi. Badania stratosferyczne poszły jeszcze dalej i balony sondy uniosły się aż do 37 km, czyli pierwsza połowa stratosfery już jest zdobyta. Pozostaje druga, po za którą rozciąga się obszar wodoru i helu.

A jednocześnie wprowadzone zostały w życie pociągi lotnicze — szybowce, ciągnione przez samoloty, które zdołały przebyć odległości ponad 5 tysięcy kilometrów. Szybowiec jako wóz przyczepny, staje się

rzeczą realną — a więc z dziedziny sportu niebawem przejdzie w sferę stałej komunikacji. Stoimy więc wobec potanienia tego rodzaju lokomocji, potanienia bardzo wydatnego, wobec możności przeniesienia w powietrze całej komunikacji osobowej, a kto wie, czy nawet nie towarowej.

Zupełnie świadomie opuszczamy rekordy wszelkiego rodzaju, które coraz mniej są efektowne, coraz słabiej świecą, coraz mniejsze koła ludzi entuzjazmują. To w znacznej mierze szacowna przeszłość — bo przelot w małej maszynce na odległość — to przecie tylko dowód wytrzymałości człowieka i dowód bardzo wątpliwej wartości, gdyż nie wiemy i pojęcia mieć nie możemy, co się stało z jego nerwami. To było dobre, gdy wogóle podawano w wątpliwość przydatność komunikacji powietrznej na wielkich odległościach. Dziś, kiedy możliwością się stało budować olbrzymy powietrzne, zabierające po sto kilkadziesiąt osób, gdy zapasy paliwa mogą się mieścić w całym sznurze szybowców, ciągnionych za sobą — teoretycznie nawet oblot całego globu ziemskiego bez lądowania, nie wydaje się już rzeczą niemożliwą.

Tak się realizuje wielkie dzieło żeglugi powietrznej — mniej więcej to, czem była w żegludze morskiej— przybrzeżna. Czeka człowieka opanowanie stratosfery, w której osiągnie on maksimum szybkości mechanicznej za pomocą śmigła czy wybuchów rakiety. Rzecz jasna, że to nie kres. Przyroda zna szybkości nieporównanie większe, które też powinny być przez nas osiągnięte. Pogoń za promieniem światła, pogoń za falą radia — oto problemy, które staną przed nami już niebawem.

Pęd ludzkości naprzód nie zna kresu — nie zna granic. Liga Powietrzna mówi o obronie. Ale wypełnia ona znacznie większe zadanie, porywa do ekspansji w wielkie światy człowieka i pod tym względem wypełnia ogromną, doniosłą rolę pokojową tak wielką, że nie psują jej nawet maskarady gazowe.

Por. L-cz.

WYDAWNICTWA

„Świat i życie" zeszyt VIII. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa pod redakcją prof. dr. Zygmunta Łempickiego.

Ukazał się już zeszyt VIII „Świat i Życie" i zawiera artykuły następujące: „Cezarowie" J. Parandowskiego — „Charakter" prof. St. Baleya — „Chata" prof. dr. K. Moszyńskiego — „Chemja" prof. dr. J. Stamony-Dobrzańskiego — „Chemja ustrojów żywych" doc. dr. P. Słonimskiego — „Chiny" doc. dr. J. Jaworskiego — „Chłop" prof. dr. Fr. Bujaka — „Chopin" K. Stromengera — „Choroba" doc. dr. P. Słonimskiego — „Chrześcijaństwo" prof. dr. A. Klaweka — „Ciążenie powszechne" doc. dr. L. Infelda — „Ciepło" prof. M. Grotowskiego — „Cieśniny" dr. K. Czekalskiego oraz „Ciśnienie" prof. dr. L. Wertensteina.

H. Gaertner i A. Passendorfer: „Poradnik gramatyczny" str. 254. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa 1933.

Autorowie usiłują oddać ducha języka, wskazać jego stan obecny we wszystkich formach płynnych i zmiennych. Uświadamiają i wyjaśniają to, co człowiek wyczuwa w polszczyźnie. Na tem polega wartość tej niesłychanie pożytecznej książki, z którą radzilibyśmy się zapoznać nietylko uczącym się, ale i to przedewszystkiem, wszystkim piszącym i... mówiącym. Przeznaczona ona jest przedewszystkiem dla uczących — sądzimy przecie, że posiada szersze znaczenie.

Dr. Med. Ludwik Krzewiński: „Pierwsza pomoc w zatruciach gazami bojowemi", str. 72. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa 1933.

Broszura ta w sposób przystępny daje pojęcie o gazach trujących, używanych na wojnie, rzuca krótki rys historji wojny chemicznej, omawia właściwości poszczególnych gazów i daje wskazówki w dziedzinie pierwszej pomocy z jaką śpieszyć należy zatrutym. Utrzymana w tonie spokojnym i pozytywnym nie sili się na żadną propagandę. Jest ściśle rzeczową. Tylko z tej rzeczowości właśnie bije cała groza wojny chemicznej — bardziej niż z jakiegokolwiek nawoływania. Wiedzieć o tych rzeczach trzeba, a bodaj, że jest obowiązkiem.

Julian Podoski: „Rycerze K. O. P.". Powieść. Bibljoteka Iskier 44. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa 1933.

Jest to książka dla młodzieży. Napisana potoczyście i ładnie. Idealizuje życie KOP w sposób powiedzmy — prymitywny. Problemy etyczne lojalności, wiary w człowieka, zaufania i granice tego wszystkiego rozstrzyga... „regulaminowo". Stosunek do Państwa, obowiązki względem niego ujmuje w sposób bardzo uproszczony. Naiwnie, aż za naiwnie podejmuje zagadnienie dywersji, komunizmu i t. d. Jest to jednem słowem służba pewnym chwilowym interesom. Pomimo to ma widoki powodzenia. Lekko sklecona fabuła i melodramatyczne efekty podbijają czytelników.

Gen. Marjusz Zaruski: „Na skrzydłach Jachtów", str. 157. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa 1933.

Na książeczkę tę składają się dwie nowele i wspomnienia wypraw na jachtach żaglowych po Bałtyku. Autor jest prawdziwym entuzjastą morza — jest też marynarzem odważnym i doświadczonym. Wyruszając w swoje podróże na łupinkach żaglowych, miał zawsze szczere przekonanie, że spełnia misję wysoką, że zacieśnia związek Polski z morzem. Tym też namaszczonym głosem przemawia we wstępie. Wspomnienia gen. Zaruskiego mają żywość i świeżość, są w całem tego słowa znaczeniu zajmujące. Czyta się je z prawdziwą przyjemnością. Zbliżają do morza — a więc osiągają zamierzenia. Co do nowelek — te są naiwne i — zbyt naszpikowane odsyłaczami. Conrad głębiej zna morze i głębiej w jego tajniki umie wprowadzić — a przecie jest o wiele zrozumialszy.

Te usterki nie przeszkadzają przecież uznać książki za miłą i pożyteczną. — Napewno będą czytali ją z przyjemnością i młodzież i starsi, bo okazuje ona, że przecież i u nas już istnieje tradycja morska. A do stworzenia jej gen. Zaruski, jako jeden z pierwszych jachtmenów w Polsce walnie się przyczynił.

Redaktor i Wydawca: *Adam Uziembło.* Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa.